Nr. 12. Lwów, Niedziela dnia 19. Marca 1876 r. Rok III.



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XI.

Narodowe ideały.

W słownikach patrjotyzmu nie ma wyrazów, któreby częściej z nich wypisywano i głoszono, jak te dwa, o pojęciu których dziś mówić mamy. Za użyciem zwykle idzie nadużycie — powiada francuskie przysłowie. Maksymie tej na nieszczęście owych wyrazów u nas musimy przyznać rację. Kto i czego nie podaje nam za narodowe ideały! W słowa te, niby w puste łupiny wypadłych ziarnek, każdy wkłada, coby w nich chciał widzieć, w braku rozumu — chimerę, lub głupstwo, w braku uczciwości — obłudę lub zdrożność. I wszystko to rozbiega się po świecie z jednakowym stęplem — narodowych ideałów. Ci krzyczą, żeśmy powinni sobie głowy poskręcać twarzą po za siebie, tamci — że po za siebie oglądać się nie warto i niebezpiecznie, jedni, że trzeba pozatykać wszystkie szpary kraju, ażeby zgubne wpływy zagranicy do nas się nie przecisnęły, drudzy — że należy tym wpływom otworzyć wszystkie ujścia i w nich się orzeźwić, starzy widzą gwiazdę narodowego szczęścia w zacofaniu, młodzi — w postępie, fanatycy gasząc światła wiedzy, łowią w ciemnościach ofiary dla Rzymu, wolnomyślni — zapalając pochodnie nauki, ostrzegają naród o niebezpieczeństwie i chcą go prowadzić naprzód — słowem rozlega się u nas jakaś pomięszana i złowroga mowa Babelu. Ludzie prezentujący przy każdej sposobności patrjotyczną barwę, wywieszają na swych sztandarach hasła ubliżające najczystszym uczuciom narodu i gwałcące najelementarniejszą zasadę prawdziwego patrjotyzmu. Niedawno np. czytaliśmy i czytać będziemy ciągle w pewnem krakowskiem piśmie szykanę ostatniego polskiego powstania. Wiadomo, że w zeszłym roku komisja konkursowa nagrodziła takąż w niegodnej tendencji udramatyzowaną szykanę, której nawet władza wzbroniła przedstawić na scenie, a prasa warszawska odrzuciła z szyderską wzgardą, westchnąwszy nad tą smutną dolą, że nam już policja przypominać musi patrjotyczne uczucia i obowiązki. Gdy jedno z warszawskich pism lekko zganiło ten Dramat bez (uczciwej) nazwy premjowany na polskim, patrjotycznym konkursie, rossyjska cenzura zawiesiła wydawnictwo i omal całkowicie nie zamknęła. Zkądże ta solidarność rossyjskiej cenzury z patrjotyzmem komisji? Czy może powinniśmy zacząć czerpać uczucia dla kraju w prasowej ustawie rossyjskiego rządu? Czy jego ukazy są normą dla naszych narodowych ideałów? Odpowiedź na takie i im podobne pytania tem jest konieczniejszą, że je nam stawia nie jakiś fakt wyjątkowy, odosobniony, lecz cały, nieprzerwany szereg wypadków. Gdy *Dziennik Warszawski* krzywdził jadem swej złości nasze powstanie, *Czas* bronił polskiej sprawy, dziś tenże *Czas* przepisuje z niego swój polski patrjotyzm. Jakiekolwiek byłyby skutki styczniowej rewolucji, żadna uczciwość, żaden rozum jej nie potępi. Skoro wybuchła, znaczy, że wybuchnąć musiała. Wszelkie potoki spienione niosą i osadzają męty. Żadne rewolucyjne fale nie były przezroczyste. I w naszym więc „buncie" były niewątpliwie pierwiastki skażone. Ale czy takie były jedynie? Czy w takich zatliła się iskra, która cały naród ogarnęła płomieniem? Tylko hretyn lub bezsumienny nieprzyjaciel mógłby to powiedzieć. Powstanie było wybuchem wulkanu serc szlachetnych i do szczęścia narodu gorąco przywiązanych. Tych, którzy mu zarzucają brak rozwagi i pomyłki w rachunku prawdopodobieństwa, nie należałoby zaszczycać polemiką, ale zapędzić do uczenia się historji i elementarnej psychologji. Żadna rewolucja nie rozpoczynała z dokładnie obmyślanym planem, żadna nie wiedziała gdzie zajdzie i czy zwycięży, każdą pchał fatalizm niedoli. Powstańcy polscy mieli też samą logikę, też same pobudki i racje, co hercogowińscy, jedni i drudzy rozpoczynali walkę z siłą nierówną, mimo to jedni i drudzy ją rozpoczęli, bo wierzyli w powodzenie, które jak nas przekonywa los ostatnich, w najniekorzystniejszych warunkach jest możliwe.

Jest to przytem charakterystyczne, że ci, na których jedynie spadło brzemię klęsk styczniowego powstania, nawet skarżąc się na jego skutki, wcale nie krzywdzą jego moralnej godności, i że ono znajduje swych potwarców jedynie w tych, których owe klęski zupełnie ominęły. Gdyby jakiekolwiek pismo w królestwie odważyło się opublikować jeden z takich artykułów, jakiemi krakowski *Czas* ciągle się zdobi, nie ręczylibyśmy ani za prenumeratorów, ani za bezpieczeństwo podobnego wystąpienia. Tylko bowiem policja i cenzura stanęłyby po stronie paskwilu. Jeżeli zaś tego rodzaju głosy oburzają nas wiodących życie wygodne, niewyrzuconych z kraju, nie przykutych do żadnego łańcucha, to wystawmy sobie jakie uczucia wywołałyby one w duszy Sybirskich więźniów? Pomyślmy tylko, coby się działo w piersi biednych powstańców, gdyby im w Irkutsku lub Kamczatce odczytano typowy numer *Czasu*? Jak to? — powiedziałby każdy — za nasze walki, cierpienia, nędzę, knuty, wygnanie, za wszystko co przebolelismy, takiem patrjoci polscy płacą nam współczuciem? Doprawdy, przyjemniej było połknąć rossyjską kulę lub samemu rozpruć sobie pierś rossyjskim bagnetem, niż walczyć i ginąć za naród, który szyderstwem się wywdzięcza. Tak powiedziałby — powtarzamy — każdy sybirski męczennik! Jeżeli więc dziś ktokolwiek ma prawo złorzeczyć styczniowej rewolucji, to tylko chyba ci, którzy przecierpiawszy ją bohatersko, dziś są przedmiotem naigrawania się „polskich patrjotów."

Zaledwie przegrzmiały pioruny rzucone z pod Wawelu na głowy męczenników sprawy 1863, zaraz tymże samym groźnym dla niej rękom nastręczyła się sposobność podniesienia w górę prawdziwego ideału Polski. Do Krakowa przyjechał arc. Ledóchowski. Więźnie cytadeli, Sybiru, są zbrodniarzami, więzień Ostrowa polskim ideałem. Dla czego? Naturalnie dla tego, że pierwsi zerwali się do walki za szczęście swego narodu, ofiarowali mu życie, mienie, swobodę i poginęli za Polskę lub za nią cierpią; drugi wszczął walkę za Rzym, gnębił żywioły polskie, wypierał się swej narodowości, poświęcał jej interesa interesom rzymskiej kurji, płaszczył się przed gniotącemi nas stopami, obezwładniał polskie duchowieństwo we wpływach na lud, pro-

testował przeciwko swojej solidarności z polskimi posłami, zakazywał narodowych w kościele uroczystości, a wysiedziawszy kozę za obce nam spory, podróżuje sobie po Europie w wygodnym wagonie, zjada wykwintne objadki, mieszka w złoconych pokojach, przyjmuje deputacje, adresy i — sowitą jałmużnę. To jest narodowy polski ideał! Ha, *tempora mutantur...* Może i dla nas nadeszła pora, strącenia z piedestału dawnych bogów i osadzenia nowych. Przecież ludzkość postępuje, może więc nam losy przeznaczyły postępować od sławy do bezcześci, od godności do poniżenia, od uczciwości do zepsucia, od miłości dla kraju do nienawiści. Może Ledóchowscy są dla nas obecnie prawdziwemi ideałami! Jeśli tak, to zgaś polski patrjoto w swej piersi czysty ogień przywiązania do narodu, wyzuj się z wszelkich uczciwych dla niego uczuć, urągaj jego niedoli, gub jego przyszłość i układaj adresy dla Ledóchowskich, lub pisz z nadzieją nagrody dramaty na krakowski konkurs!...

Ale... nie! Myśmy jeszcze tak nisko nie spadli, jakby nas chciał jezuityzm postawić. Naród częściami psuje się i obumiera, lecz jego całość podtrzymują ciągle żywotne siły. Gdyby nie ta wiara, należałoby chyba lepiej samemu nadstawić się cudzym ciosom, niż zginąć od własnych. W pierwszym razie pozostałaby przynajmniej po nas w historji pamiątka narodu zabitego, w drugim — wspomnienie bezdusznej masy zaniedbanemi chorobami zduszonej. Na litość! przecież chyba jeszcze życie nasze nie wytliło się, chyba jeszcze wystarczy nam sił na długie istnienie. Ludy zachodnie prorokują nam przyszłość, a tymczasem my zdradzamy wszystkie oznaki plemienia konającego. Kto się uważniej przypatrzy, nie wróży nam więcej życia, jak Irlandji. A jej narodowym ideałem... także święty.... Patryk!

Ażeby się nie doczekać zbyt prędko pogrzebu, który nam ciągłe jęczenie krakowskich dzwonów zdaje się zapowiadać, dajmy pokój świętym i zajmijmy się potępionymi. Nie w świecie bigoterji, ciemnoty, fanatyzmu, umysłowego zastoju szukać winniśmy swoich narodowych ideałów, ale w świecie wolnej myśli, bezinteresownej miłości i niepokalanych uczuć moralnych. Wszystko co po za ich granicą leży, może być ideałem Rzymu, ale nie Polski. Ona ma lepsze zadanie, niż być gniazdem i ucieczką rodu Lojoli, wypłoszonego ze wszystkich kryjówek, nie jest martwem ciałem rzuconem temu stadu sępów na bezkarne rozdziobanie. Ona — żyje!... nie zginęła!...

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

XII.

Nie mamy czasu analizować uczucia, jakiego doznał na ten widok, zaręczyć tylko możemy, że to nie było uczucie przyjemne.

Ile tych pik było, nie próbował liczyć pan Artur, — mnożyły się one do nieskończoności w jego oczach, zdawało mu się, że widzi ruchomy, w stronę Gradowiec zmierzający las.

Pospieszył z raportem do dowódcy, przekonany, że mu przyniesie przerażającą i niespodziewaną wiadomość.

Omylił się.

Podczas gdy on stał na czatach, oddział zahajpolski ustanowionym już został przez dowódcę w szyk bojowy. Pan Bartłomiej nie od pana Artura dopiero miał się dowiedzieć, że Moskale się zbliżają. Wiedział on już oddawna, że się zbliżyć muszą, a wiadomość, że ich już widać, była mu potrzebną tak tylko, jak potrzebnym jest dla kapitana okrzyk „ziemia“ z wierzchołka masztu, chociaż wie dobrze, że tej ziemi jest blisko i że ku niej statek ciągle kierował.

— Dobrze, — odpowiedział pan Bartłomiej — teraz na koń i wyruszamy.

— Dokąd? — spytał lękliwie pan Artur.

Ale dowódca już nie słuchał tego nieuprawnionego pytania. Znajdował się na czele oddziału, który właśnie ruszał się z miejsca.

Były kamerjunkier rad nie rad dosiadł swojego konia i znalazł się w szeregu.

Pochód odbywał się szybko, ale ostrożnie i cicho. Pan Bartłomiej tak dobierał drogę, żeby oddział jego był ciągle przed Moskalami przez miejscowość zasłoniętym. Mógł to uczynić, bo się wprzód doskonale w miejscowości rozpatrzył.

Po kwadransie może marszu dowódca zatrzymał swój oddział i kazał swoim żołnierzom pozsiadać z koni.

Było to miejsce naprzód upatrzone i odpowiednio przygotowane na zasadzkę. Przez cały czas wolny, jaki od wypadków gradowieckich i przyjścia do Zaskala aż do tej chwili upłynął, pracowano nad urządzeniem tego stanowiska, którego jedynym celem było dopuścić nieprzyjaciela o ile podobna najbliżej, aby nań znienacka i niespodziewanie uderzyć.

Takież same roboty przedsięwzięte zostały przez głównego naczelnika, w innej miejscowości, po drugiej stronie drogi położonej.

Pan Artur uczuł się dość bezpiecznym w tym, częścią przez naturę, a częścią ręką ludzką przygotowanym zasieku. Jaki miał plan pan Bartłomiej, ani też że ten plan zostawał w ścisłym związku z działalnością głównego naczelnika oddziału, nie było mu naturalnie wiadomem. Przypuszczał tylko, że Zahajpolski chce ukryć swoich ludzi przed oczyma przeciągających drogą Moskali, i przyznawał mu w duchu, że się do tego wziął bardzo zręcznie. Jeżeli Moskale nie byli przez jakiego szpiega poinformowani o tej kryjówce, to mogli przejść najspokojniej i nie zwrócić na nią uwagi. Miał więc syn marszałkowski niejaką otuchę, że nadciągająca burza przeminie.

Otucha ta rosła w nim nawet w miarę zbliżania się moskiewskiego zastępu. O tem zbliżaniu się wiedział nietylko na podstawie obserwacji, którą robił na swym zegarku, a którego wskazówki świadczyły wyraźnie, że oddział moskiewski, jeżeli ciągle drogą naprzód się posuwał, musiał już dochodzić do punktu, w którym ta droga najbardziej była zbliżoną do obranego przez pana Bartłomieja stanowiska, ale nadto zapewniał go o tem najwyraźniej jeden ze zmysłów, zmysł słuchu.

W oddziale powstańczym panowała uroczysta cisza, najmniejszy zatem gwar z oddali dochodził do ukrytych w zasadzce. Tym sposobem słyszeli oni coraz wyraźniej zbliżającą się wrzawę moskiewskiego oddziału, którego poruszenie obserwował przez lunetę sam tylko pan Bartłomiej, z uprzednio na ten cel przygotowanego i upatrzonego punktu.

Wrzawa ta, z odległości kilku staj znacznie przytłumiona, zdawało się że już doszła do swojego maximum, a jeszcze pan Bartłomiej oddziałowi swojemu nie nakazał robić najmniejszego manewru. Później zaczęła wyraźniej słabnąć, co świadczyło, że Moskale przeszli już punkt najbliższy lub w inną stronę się zwrócili.

Gdy to zjawisko akustyczne zaobserwował młody pan Szóstacki, uczuł się o połowę lżejszym. Pierś mu wezbrała uczuciem jakiejś wdzięczności za ocalenie od niebezpieczeństwa, oraz pragnieniem wynurzenia tej wdzięczności w jakibądź sposób. W pierwszej chwili nie wiedział tylko, komuby tę wdzięczność wynurzyć, i dziwić mu się niepodobna — zbyt był przyjęty. Im bardziej jednak słabł i cichnął gwar przeciągającego moskiewskiego żołdactwa, tem do większej równowagi przychodziły jego władze umysłowe, przypomniał więc sobie nareszcie, że w Łaszczyńcach znajduje się kaplica wzniesiona przez jego ojca na cześć Tego, bez którego woli włos z głowy człowieka nie spadnie, który ptastwo niebieskie żywi i odziewa, i o najmniejszym robaczku pamięta. Uznał tedy za najwłaściwsze pan Szóstacki wdzięczność, którą serce jego wezbrało, temu Najwyższemu Wszechopiekunowi wynurzyć, czyli mówiąc po prostu, uczynił w duchu najsolenniejszy ślub, że jeśli z tej afery wyjdzie cało, jeśli mu włos z głowy nie spadnie, jeśli Moskalom, którzy przeszli, nie przyjdzie ochota powrócić, złoży w tej kaplicy swoje *votum*, w postaci szczerozłotego serca umieszczonego w ołtarzu.

Czy jednak ta ofiara nie była dostateczną, czy zapóźną, czy z innych jakich powodów nie zasługiwała na względy, dość, że nie została przyjętą.

Zaledwie pan Artur ślub ten w myśli uczynił, dało się w oddaleniu słyszeć kilkanaście nieregularnych wystrzałów, na które zaraz odpowiedział ogień rotowy, a jednocześnie tuż za panem Arturem zabrzmiał tubalny głos pana Bartłomieja:

— Na koń, bracia!... naprzód!... na wroga!...

Jakim sposobem na odgłos tej komendy pan Artur równie szybko jak inni znalazł się na swoim koniu, tego już on sam nie wiedział. Robił to co robili inni, ale robił automatycznie, instynktowo. Ociągać się i rozmyślać nie było czasu, echo wystrzałów zelektryzowało i jego, tak jak wszystkich. Nie upłynęła minuta cały oddział wypadł już z zasadzki, odsłonił się przed nieprzyjacielem, ale jeszcze przez niego spostrzeżonym nie został. Moskale bowiem rzeczywiście minęli już miejsce, w którem oddział pana Bartłomieja był ukryty, a uwaga ich naturalnie zwróconą została w stronę zkąd

zostali zaatakowani przez Klina i nadciągającego od tyłu nieprzyjaciela domyślać się nie mogli.

Całym pędem koni spieszyli zahajpolscy, korzystając z tej chwilowej nieuwagi moskiewskiego oddziału, i tak dalece zdołali ją wyzyskać, że znaleźli się na odległość strzału i kulami dopiero dali zaatakowanym wiadomość o sobie.

Kilku kozaków spadło z koni, w oddziale moskiewskim, wziętym we dwa ognie, zrobiło się zamięszanie. Zamiast odpowiedzieć natychmiast na ogień zahajpolskich, zatrzymali się i zawahali. Położenie ich nie było pożądane. Wzięci z dwóch boków, nie mogli się cofać bez narażenia się na krzyżowy ogień, nie mogli się zwrócić w prawo lub w lewo bez podania tyłu jednej ze stron nacierających, a przed sobą mieli Smotrycz, przez którą wprawdzie można było w niektórych miejscach przejść w bród albo przepłynąć, ale takie przejście pod ogniem nieprzyjaciela równałoby się zupełnej porażce.

Nie pozostawało im zatem nic innego, jak zwróciwszy się tyłem do rzeki, przyjąć bitwę na miejscu.

Wahanie się ich chwilowe wyszło jednak na korzyść partyzantom, którzy tak zwartem otoczyli ich kołem, że okazało się nieuniknionem najstraszliwsze starcie — na broń białą.

Bagnety miały zmierzyć się z kosami, a kosa w pierwszych początkach powstania przesądną trwogą przejmowała nieoswojone z tym rodzejem broni żołdactwo moskiewskie.

Dowodzący Moskalami oficer nie przewidywał przytem wcale, żeby powstańcy mieli się posunąć aż do otwartego ataku, a tem mniej nie przypuszczał, żeby mógł być wziętym we dwa ognie, i nie mógł się odrazu zrejestrować w swem położeniu.

Wszystko to osłabiało szanse Moskali, i tyleżkroć potęgowało prawdopodobieństwo zwycięstwa miateżników.

W chwilę potem zaczęła się walka mordercza, w której atakujący i atakowani byli już siebie tak blisko, że ogółu tego starcia i chwiania się zwycięstwa na tę lub drugą stronę nie można było objąć wzrokiem widza, któremu tylko przedstawiały się krwawe pojedyncze epizody.

Jeden z najtragiczniejszych tej walki epizodów odgrywał się niezawodnie w duszy najmimowolniejszego jej uczestnika, pana Artura. Mieć śmierć przed sobą i za sobą i obok siebie i do koła! Najodważniejszego człowieka w pierwszej potyczce mimowolna przejmuje groza, a cóż dopiero powiedzieć o cywilizowanym, salonowym, europejskim młodzieńcu, którego fatalność wyrwała z kryjówki w buduarze wdowieńskim, i rzuciła prawie bezpośrednio, prawie zaraz, w najzacieklejsze jatki mężobójcze. Gdyby nawet pan Artur był jednym z homerowskich bohaterów, jeszczebyśmy mu nie mieli za złe, jeżeliby drżał znalazłszy się w tym tańcu śmierci, i jeśliby stracił głowę na chwilę. Ale syn pana marszałka okazał się wyższym od bohaterów homerowych. Drżał wprawdzie, ale głowy nie stracił, i gdy inni zapomniawszy o wszystkiem bili się tylko, on pamiętał jeszcze o sobie i myślał o tem, jakby się tu z tej sprawy wycofać cało.

Sposób wycofania się znalazł się dla niego i były kamerjunkier miał tyle przytomności umysłu, że zeń skorzystał.

Sposób ten nie wyglądał wprawdzie ponętnie. Miał postać paru łokci głębokiego dołu, na dnie którego była wilgotna kałuża. Z wysokości konia dojrzał marszałkowicz ten dół i zaraz nań zwrócił uwagę, jako na pozycję strategiczną, doskonale mogącą zabezpieczyć ojczyźnie jednego na przyszłość obrońcę. Walka na białą broń rozpoczynała się dopiero, a że pan Artur jako człowiek niegorączkowy, nie spieszył się do pierwszego szeregu, więc nie należał jeszcze do niej, lecz owszem z niewiadomej przyczyny — koń mu pewno trochę okulał — przyzostał w tyle. Koń kulawy w bitwie jest tylko zawadą, zeskoczył więc z niego i puścił go na wolę losów, a idąc pieszo ni ztąd ni z owąd znalazł się nad samym owym dołem. Spojrzał weń i wahał się jeszcze, ale gdy błędna jakaś kula świsnęła mu koło ucha, uważał to widać za wskazówkę jak ma postąpić...

Rzucił broń i chwycił się oburącz za piersi, jakby grotem śmiertelnym dotknięty, nogi się pod nim zachwiały, upadł i w chwilę potem rzadkie błoto' pokrywające dno dołu, miało zaszczyt przyjąć na swoje łono ciało eleganckiego młodzieńca, ciało z którego bohaterski duch ani uleciał, ani ulatywać nie myślał.

Na tej wodnistej pościeli, na której jakiej rusałce może byłoby wygodnie, ale wygodnie być nie mogło rozpieszczonemu marszałkowskiemu synowi, przeleżał były kamerjunkier pięć godzin. Łzy nam stają w oczach na samą myśl, jakiego przez to mógł się nabawić kataru; nie było to przecież jeszcze niczem, gdyby przynajmniej ten pięciogodzinny spoczynek miał niezakłócony żadnemi przykremi wrażeniami i przygodami.

Los jednakże sprzysiągł się tego dnia na marszałkowskiego syna.

Do spoczynku w kałuży przygrywała mu z początku najnieprzyjemniejsza z muzyk wrzawa odbywającej się tuż prawie nad jego głową krwawej potyczki. Wrzawa ta to się wzmagała to słabła, w miarę jak się zbliżało lub oddalało główne ognisko walki. Jęki rannych, klątwy moskiewskie, polskie okrzyki, szczęk kos i pałaszów, huk wystrzałów, dobiegały pomięszane do kryjówki pana Artura. Jeżeli drżał i teraz, chociaż schowany, to mu tego tembardziej za złe brać nie można, że sam przed sobą nie potrafił zdać sprawy czy drży z przerażenia czy też trzęsie go febra, więcej niż naturalna w wilgotnem jego schronieniu.

O różnych kolejach walki donosiły mu bardzo wyraźnie, dobiegające jego uszu dźwięki.

Jeżeli po nad sobą w bliskości usłyszeł tętent konia a jednocześnie dawał się słyszeć przeraźliwy krzyk kozaka: „Nie ujdiosz buntowszczyk!“ wolno mu było wnosić, że zwycięstwo się chyli na korzyść Moskali, a jeżeli kozak przebiegający wrzeszczał: ,,Nie nagonisz!“ było to znakiem, że siła zbrojna narodowa bliższa tryumfu.

Wolałby był jednak pan Artur, żeby dół, w którym obrał sobie stanowisko bojowe, nie leżał tak jakoś blisko szlaku, którym kozacy na pojedynkę gonili uciekających, albo uciekali przed goniącymi, gdyż włosy wstawały mu na głowie na samą myśl co to będzie, jeżeli który z nich w zapale pościgu lub ucieczki wpadnie z koniem do tego dołu.

Że to nie była płonna obawa, miał niestety sposobność były kamerjunkier bolesnem doświadczeniem się przekonać.

Rzeczywiście w zamęcie walki koń jednego z jeźdźców, — pan Artur nie mógł nawet dostrzedz i poznać do której należącego strony, — potknął się i przedniemi kopytami spadł na jego biodra, ale zaraz dał dęba, a potem rów przesadził i popędził dalej, pozostawiając byłemu kamerjunkrowi na pamiątkę dwie najokropniejsze kontuzje prawego biodra, które szczęściem tylko i cudem prawie, nie pogruchotały mu kości.

Pod wpływem bolu marszałkowicz stracił przytomność i wcale już później nie wiedział, co się nad nim i koło niego działo... Gdy przyszedł do siebie i ocknął się z omdlenia, oraz przypomniał sobie gdzie jest i jakim się tam dostał sposobem, ustała już cała wrzawa walki, najmniejszy szmer znikąd nie dobiegał jego ucha.

— Wyraźnie już po bitwie — mówił do siebie.

Ból dolegliwy w miejscach stratowanych przypomniał mu bardzo wymownie, że i on z tej bitwy nie wyszedł cało. Dalsza pozycja w dole stała się dlań przytem tak dalece nieznośną, że nowe bohaterstwo w niego wstąpiło.

— Choćby się nie wiem co stać miało — rzekł w duchu — nie wytrzymam tu dłużej, wyjdę ztąd.

Pomimo przecież tego bohaterstwa o koniecznej ostrożności nie zapominał.

Wychylił głowę z dołu, o ile to podobna było najmniej uczynić, ażeby coś przecież zobaczyć.

Nie zobaczył nic szczególnego. Nigdzie jak daleko oko jego sięgało, ani piki kozackiej, ani buntowniczej kosy, ani żywej duszy dokoła.

To zachęciło pana Artura do wychylenia się coraz bardziej, aż nareszcie wyprostował zupełnie swoją osobę oraz zbolałe od niewygodnej pozycji, przemoczenia i potłuczenia, członki.

I teraz nigdzie w okół nie było widać człowieka.

Przeświadczenie, że się wszystko skończyło, albo że teatr walki przeniósł się gdzieś daleko, rozzuchwaliło pana Artura — wylazł z dołu.

Gdy stanął na powierzchni ziemi, powiększył się w dziesięćkroć zakres, który mógł objąć wzrokiem. Rozpatrzył się więc w około nie bez pewnej obawy, i dopiero odetchnął pełną piersią, gdy i teraz jeszcze żadnej ludzkiej istoty nie zobaczył.

Oczywiście skończyło się już wszystko, — powtórzył

Jak się skończyło? czy ta czy tamta strona zwyciężyła? — nad tem nie myślał, było to dla niego obojętne.

Przed nim w tej chwili stała inna kwestja:

*

— Co teraz począć?...

A nie była to kwestja do rozwiązania łatwa. Biedny ex-kamerjunkier był znowu między młotem a kowadłem. Mógł wpaść w ręce Moskali, mógł się dostać do swoich, ale i tego i tamtego wcale sobie nie życzył.

Dla Moskali odzież jego, zbłocenie, stratowanie, były najlepszem świadectwem, że brał udział w walce. Jeżeli zwyciężyli, to litości nie mają dla zwyciężonych i mogą się z nim obejść najniegrzeczniej; jeżeli zwyciężeni, to tembardziej mścić się muszą na maroderach, którzy się dostaną w ich ręce.

Dostać się do swoich wprawdzie napozór niczem złem nie groziło. Co im do tego gdzie pan Artur był w czasie bitwy, dość że jest kontuzjonowany okropnie, i że mimo to wraca, ale dostanie się do swoich groziło mu pozostaniem nadal w szeregach narodowych, w najlepszym razie pozostawieniem go gdzieś po drodze na kuracji jako rannego, ale zawsze z zachowaniem charakteru powstańca, a więc ze wszystkiemi możebnemi dalszemi niebezpieczeństwami. Tymczasem dla pana Artura było już tego żołnierstwa narodowego aż zawiele, nie jedno ale dwa szczerozłote serca zawiesiłby na ołtarzu wzniesionej przez jego ojca kaplicy, gdyby się mógł od tego raz na zawsze uwolnić, i jeżeli nie uczynił w tym duchu ślubu, to tylko dlatego, że pierwszy był tak bezskuteczny i tak niełaskawie przyjęty.

Trzeba więc było unikać jednych i drugich, trzeba było dostać się albo do Łaszczyniec, albo za granicę, i lepiej nawet za granicę, niż do Łaszczyniec, bo któż mógł wiedzieć co się tam działo. I tam już mogli się rozgospodarować jedni lub drudzy z tych, z którymi pan Artur wcale spotkania nie pragnął, tak jak się mogli rozgospodarować wszędzie, gdziekolwiekby się zwrócił: w Zaskalu, w Gradowcach, w Rozdrożu.

Kwestji więc, ,,co teraz począć?" nie można było rozwiązać inaczej jak instynktem, jak zdaniem się na los szczęścia, zdecydowaniem się na to i oswojeniem się z tą myślą, że niebezpieczeństwa przebyte może są tylko wstępem do nowych i jeszcze przykrzejszych.

Isnstynkt doradził panu Arturowi ukryć się byle gdzie i dopiero pod osłoną nocy iść dalej.

Najbliższą kryjówką był las, powlókł się tedy kulejąc, oglądając się, przystając i nasłuchując, ku lasowi, gdzie go na czas pewien wraz z czytelnikiem z oczu stracić musimy. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

Adama Kuliczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Tego samego wieczora, kiedy się to wszystko działo, co stanowi przedmiot pierwszych pieśni rozpatrywanego poematu, zebrali się w gospodzie Janusza przedniejsi mieszczanie Sądeccy, jak to zawsze bywało w ich zwyczaju, na szklankę i pogadankę. Gwoli niedzielnej uroczystości było zebranie liczniejsze niż w dni powszednie. Na honorowem miejscu, naprzeciw drzwi, zasiadł pan burmistrz Marcowicz, głowa miejskiego sądu; przy nim po lewej i prawej rajcy miejscy, ławnicy, kupcy i starsi cechowi; zaś „mistrze różnego rzemiosła" obsiedli stół dębowy dokoła,

Który w krąg izby szedł kształtem podkowy.

Młodzież nie siedziała, lecz rozpierzchła się po gospodzie; tylko Bartek usiadł za osobnym stołem z czeladnikiem cieślą, który go, jak już wiemy, tu za sobą pociągnął. Z trojga lamp wiszących u powały, a osłoniętych baniami ze szkła czerwonego, tryskało purpurowe światło na ściany izby i na oblicza ponure obecnych.

Poeta pozwala czytelnikowi obejrzeć się w tem gronie i przysłuchać z bliska rozmowie, którą właśnie zajęci byli Januszowi goście. Prócz Marcowicza burmistrza, należeli do przedniejszych i poważniejszych w tem zebraniu: cechmistrz szewski Cyrus, kramarz Światłowicz, browarnik Gil, Gadowicz młynarz, Oleksowicz sukiennik, szafarz Barycki, pan Bogdajłowicz sędziwy staruszek, bogacz wielki i „prarajca" miasta, Stach krawczyk, zwany „organistą" dla tego, iż celnie podpalał muszkiety wiszące na strzelnicach, Szydłowski patron kolegiaty, kupiec korzenny Fryderyk czyli Fryc, jak go nazywano, i wreszcie pisarz miejski Suszycki.

Przedmiotem, który zaprzątał sobą myśli wszystkich i każdemu ze zgromadzonych tutaj kamieniem leżał na sercu, był naturalnie obecny stan Sącza. Mówiono zatem o ucisku, który coraz bardziej dokuczał, o samowoli Sztajna i coraz cięższych grabieżach szwedzkich. Bartek słuchał z wewnętrzną radością tych skarg, które wywodzili starsi mieszczanie; ich bowiem niezadowolenie pozwalało spodziewać się, że zamierzony, a wiadomy nam już plan Sądeckiej młodzieży przy takiem powszechnem usposobieniu tem łatwiej da się wykonać. Słuchał więc tych żalów, które były "balsamem dla jego ucha," i tych ostrych przycinków, których nie szczędzono znienawidzonym najeźdźcom. Jeden tylko burmistrz nie rad był temu, o czem tu gadano. Pan Marcowicz, człek roztropny, rozumiał swoje teraźniejsze położenie; więc

Wstał, bo choć sercem wielce był odważny,
I akta nawet raz podarł sędziemu,
Kiedy w nie wyrok wpisał przeciw niemu —
Musiał tu jednak tę rzecz mieć na względzie,
Iż niebezpiecznie na jego urzędzie
Słuchać spraw takich i rozmowy toku,
Zwłaszcza gdy Sztajn go ciągle ma na oku.

Komendant miasta mógłby go łatwo pozbawić piastowanej godności!...

Więc *cauta mente* lękając się gromu,
Pożegnał braci i — poszedł do domu.

Typ dygnitarza w kłopotach wybornie uchwycony. Opuszczone miejsce Marcowicza zajął prarajca Bogdajłowicz. Radzono więc dalej i rozmowa coraz bardziej się ożywiała. Przyszły na pamięć niecne sprawki Szlichtynga, urodzonego szlachetnie Wielogłowskiego, tudzież Siemichowskiego Florka, których rolę w tym dziejowym dramacie, acz zaściankową, znamy dobrze z przytoczonego przypisku poety. Stach krawczyk choć podeszły laty, ale od drugich energiczniejszy, radykalnego środka uchwycić się zamierzył; z uśmiechem znaczącym spojrzał na młodzież, i przychylając się do zdania Bogdajłowicza: że tego gadu w mieście pozbyć się należy, zawołał:

Chłopcy! ja gotów — dwu albo trzech jeszcze,
A tak się z tymi Arjany popieszczę,
Że Sztajn im będzie musiał *requiem* sprawić....

Myśl była wyraźna — ale Bartkowi nie zdała się wiodącą do celu; więc wstawszy z swego miejsca, odezwał się z zapałem:

. . . . . Duszy, krwi w was nie ma!
Gdy bieda, przyczyn szukacie za drzwiami,
I ani przez myśl nie przeszło nikomu,
Że tu przyczyna, w mieście, w własnym domu.
Szlichtyng i tamci? — tfu! — trzy ząbki żmii,
Która łbów tysiąc ma u głodnej szyi....

A odsłaniając już wreszcie zupełnie swój zamiar, dodał:

A gdybyśmy też, jakeśmy tu razem,
Podali sobie dłoń, potem żelazem,
Jutro w noc szwedzką sprawili załogę,
Lecz tak, by z miasta nie puścić i nogę?...

To powiedziawszy, umilkł i czekał przyzwolenia starszyzny. Plan jego był wielki i tak śmiały, jaki tylko począć i zrodzić się może w bohaterskiej duszy młodzieńczej. Łatwo odgadnąć, że nie zyskał aprobaty u tych, od których się jej spodziewał. Patrycjusze miejscy poczęli niedowierzać, obawiać się fatalnych następstw projektowanego kroku, mitygować zapał, odradzać. Nawet krawczyk Stach rozgniewał się na serjo, a pisarz Suszycki, „protoplasta i wzór skrybów Sądeckich," jął ze stanowiska prawnego wywodzić niestosowność mięszania się w sprawy, do których podług niego mieszczanin nie był zgoła powołanym.

. . . . Od wojaczki wolni są mieszczanie,
Tak w konstytucjach powiada pisanie.
Znam Saxon, bracia! Rzeczcież mi, gdzie stoi:
„Za sprawę kraju niech się mieszczan zbroi?"
Szlachcie należy wojowania sława;
Za to ma większe przywileje, prawa
I rząd.

W tej chwili wpadł do izby Nikburowicz dzwonnik z grabarzem Trelą, donosząc o rabunku kościoła św. Małgorzaty. Wiadomość ta poruszyła wszystkich i przejęła do żywego. Był to nowy gwałt, dokonany przez niedowiarka przy świętej niedzieli!... Zgroza opanowała obecnych, powstało zamięszanie. Ten i ów zrywał się biedz na miejsce popełnionego świętokradztwa. Korzystając z okazji, zabrał Bartek znowu głos, ażeby chwiejnych pociągnąć do czynu. Ale słowa jego zapewne i teraz nie większy odniosłyby skutek, gdyby nie gość niespodziewany, który właśnie wszedłszy do gospody i słysząc mowę cieśli, zawołał:

. . . . „W bój z świętą królową!"

Wszystkich oczy zwróciły się na przybyłego. Był nim siwiuteńki jak gołąb Jacek Szydłowski, niegdyś najpierwszy z kupców Sądeckich. Wracał oto z Częstochowy, która w tej strasznej kraju potrzebie nietknięta od kul szwedzkich cudem ocalała. Toż pochwaliwszy cieślę za jego piękną odwagę, począł rozpowiadać, co tam na własne oczy oglądał ze zdumieniem: jak grzmiały działa, gdy ksiądz Kordecki z krzyżem

stał na wałach; jak przy tem z wieży kościelnej muzyka wygrywała cudne symfonie, a pociski od murów odbite wracały się na Szwedów samych, rażąc ich okropnie; jak wreszcie jego i kilku innych starców ksiądz przeor posłał do uciśnionej w ojczyźnie braci, ażeby wszystkich w imię Boga wzywali do boju. Z tem wezwaniem przyszedł tu Szydłowski.

Słowa jego, poparte przez Bartka, wielkie na zgromadzonych sprawiły wrażenie. Niecierpliwa młodzież ściskała pięści i „na bój!“ krzyczała, nawet starszyzna pozbywała trwogi. W tem podniósł się Fryc korzennik i jął przekładać, jak niebezpiecznie śród zimy rozpoczynać wojnę, a lepiej już przeczekać do wiosny, kiedy i pora sposobniejsza i ruch mieszczański niewątpliwie wsparty zostanie ruchem okolicznym, który się gotował. Uwagi te ostudzały znowu zapał świeżo rozbudzony. Jacek i Gil browarnik wszczęli spór z korzennikiem — ale młodzież srodze gniewna nie mogła wytrzymać, i z Bartkiem wyszła z izby.

Scena, którą streściliśmy, należy do wybitniejszych w naszym poemacie i nosi na sobie znamiona prawdziwie epickiej natury. Podobnie jak Mickiewicz w najznakomitszym swoim utworze, w *Panu Tadeuszu*, chcąc skreślić obraz życia zaściankowej szlachty, wiedzie nas do Dobrzyna, i nie tylko same najprzedniejsze typy z tego świata społeczeńskiego, ale i cały chór tych różnolitych postaci w charakterystycznem maluje oświetleniu, tak uczynił i Romanowski, mając przy pisaniu swojej „Gospody“ zapewne żywo przed oczyma szóstą i siódmą księgę wspomnianej naszej wielkiej epopei. Wszystkie te figury, o których mówiliśmy — a jest ich kilkanaście umieszczonych na przedzie obrazu — odznaczają się trafnem pojęciem tej sfery społecznej, do której należą. Przy tem umiał poeta szczęśliwie uchwycić i uwydatnić ów kontrast widoczny prawie zawsze w zapatrywaniach, uczuciach i usposobieniach starszego i młodszego pokolenia; owo przeciwstawienie chłodniejszego, zastanawiającego się i zgłębiającego rzeczy rozsądku z zapałem młodości, który cuda tworzy. A jak między Dobrzyńską szlachtą litewskiego zaścianka wyróżnia się najkorzystniej „Maciek nad Maćkami,“ tak w innej roli w tem mieszczańskiem gronie sławetnych ojców Sącza wyższy od drugich duchem jest Jacek Szydłowski. Goście gospodniej izby Janusza narysowani wprawdzie tylko w konturach, ale takiego jedynie rysunku dozwalały rozmiary opowieści. (C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(Ciąg dalszy.)

Trentowski rozbierając z całą ścisłością krytyczną teorje Wrońskiego*), powiada między innemi: „Autor trzech myśli Ligęzy i Schelling berliński pragną, pierwszy na miejscu epoki św. Piotra, a drugi na miejscu spekulacyjnej wieży babilońskiej św. Pawła, zbudować kościół Janowi apostołowi.*) Wroński sięga dalej i śmielej. On stawia na gruzach synagogi Boga Ojca i na rozwalinach tumu Boga Syna, kościół dla Ducha św.**)

Taką miał Wroński wiarę w prawdę swego systemu, tak był przekonany, że messjanizm jedynem jest lekarstwem, na wszelkie ówczesne rany społeczno-polityczne, iż przezeń jedynie ludzkość uszczęśliwioną być może, — że nie poprzestał na biernej roli filozofa-pisarza, ale apostołował czynnie dla swej nauki i fanatycznie starał się ją propagować. Udawał się to do króla Ludwika Filipa, to do ministrów francuskich, ażeby wyjednać założenie w Paryżu odrębnej, od uniwersytetu zupełnie niezawisłej katedry messjanizmu. Oprócz tego ogłosił w mieszkaniu swojem bióro messjaniczne, dokąd mających wolę i ochotę zaprasza dla zawiązania unji, co ma świat zreformować.

Nie wypływa to z zadania naszego, aby się dłużej i dokładniej nad systemem Wrońskiego zatrzymywać; dodać tylko wypada, że jakkolwiek wyda się messjanizm Wrońskiego w całości swej wzięty, choćby w szeregu systematów filozofji spekulacyjnej — wydał się po części marzeniem, to marzenie to bądź co bądź, nosi na sobie piętno genialnego ducha, z którego się wysnuło. Libelt powiada, że „Wroński należy do najekscentryczniejszych genjuszów wieku naszego, mąż rozległej wiedzy i wielkich zdolności.“***) Sądził Wroński, że zadaniem jego była reforma całego społeczeństwa ludzkiego, i dla tego w ten wielki cel zapatrzony, traci z oka specjalne własnej ojczyzny interesa, a nawet poświęca je ogólno ludzkim i porusza dziwaczną utopję panslawistyczną, o czem pomówić, później nadarzy się sposobność.

Tymczasem nasuwa się konieczność zwrócenia uwagi, na inne pojawy filozofji polskiej, pokrewnej messjanizmowi Wrońskiego, schodzącej się z nim w jednym niemal czasie. „Polska Chrystusowa“ Królikowskiego Ludwika, zapowiada konieczność odrodzenia się ludzkości na gruncie czystej ewangelji, przez porzucenie mądrości szatańskiej (filozofja czystego rozumu i polityka państwowo-monarchiczna). „Polacy,, ten lud-męczennik i lud-tułacz, powołani są do pracowania w winnicy pańskiej i przyspieszenia królestwa Bożego.“ Wiara w to odrodzenie się ludzkości na zasadzie ewangelicznej, doprowadziła Królikowskiego do mystycyzmu, a wreszcie i do uwierzenia w objawienie Towiańskiego. Powiada, że w Towiańskim „okazał żię cud, cud niepojęty dla chrzczonych i niechrzczonych pogan,“ i że Towiański z Mickiewiczem wystąpili, jako wysłannicy Pana odwiecznego.

Naśladowcą i zarazem niejako dalszym ciągiem Wrońskiego, jest Antoni Bukaty („Polska w Apostazji i w Apoteozie“ r. 1842), a do szeregu messjanistów, należałoby wliczyć i Bochwica którego Trentowski uszczypliwie: „porządnym“ filozofem nazywa.*)

Nietylko w systematy filozoficzne przelewa się idea messjaniczna, ale o wiele silniejszym prądem płynie w poezji naszej po r. 1830, stanowczo oddziaływa na pojęcia i wyobrażenia narodu, podbija sobie zupełnie wyobraźnię i uczucie, wpływa niemało na losy nasze polityczne i powiedziećby można: rodzi rok 1863.

Napomknęliśmy powyżej, że nieszczęścia polityczne naszego narodu, złożyły się przeważnie na stworzenie messjanizmu: rozpatrzyć się teraz pora, jakim sposobem i jaką koleją znalazł messjanizm grunt szeroki dla siebie w tych stosunkach naszych, jak się stało, że objął na tym gruncie panowanie i wybujał następnie w aberację Towiańskiego?

Nie będzie to przypuszczeniem jakiegoś fatalizmu etnograficznego, jeżeli zechcemy zgodzić się z wielostronną opinją, a wreszcie z faktami historycznemi, które wcale jasno wykazują brak siły czynnej w Sławianach, pewną bierność życia. Wynika to zapewne z charakteru rolniczego Sławian. Rolnictwo jednostajnością swojego zajęcia, oddala od człowieka sposobność i potrzebę szukania rzeczy nowych, a przykuwając go do grzędy, nie dozwala ruchu. Ztąd też zapewne, spotykamy w Słowianach raczej siłę oporu, niż rzutu, ztąd ową nieśmiałość jakiejkolwiek inicjatywy. Do tych właściwości dodać należy ową skłonność Sławian do oglądania się zawsze i wszędzie, za jakąś siłą zewnętrzną — i ową wiarę w działalność ciągłą świata niewidomego, na widomy, wiarę — która jak Libelt i Mickiewicz powiadają, jest głównym dogmatem, na którym polega narodowość polska. Takie usposobienie przebija się bardzo dokładnie w historji i polityce polskiej, w życiu — w literaturze — i w takiem usposobieniu mógł znaleść messjanizm rację bytu dla siebie.

Gdy ostatni sztandar polski spadł z murów Warszawy, gdy Kościuszkę w więzienie

---

*) Hoene-Wroński, czyli messjanizm polsko-francuski przez Bronisława Trentowskiego. „Rok.“ Poznań 1844.

*) Św Piotr ma tu reprezentować epokę chrześcijaństwa opartą na wierze, św. Paweł epokę mądrości ojców kościoła i filozoficznej, św. Jan epokę miłości, która ma dopiero nastąpić i być ostatecznem wcieleniem się w ludzkość ideii chrześcijaństwa. W trzech myślach Ligęzy wróży Krasiński koscioiowi katolickiemu (św. Piotra) śmierć i pogrzeb i to nie jako możliwośc straszną i złą, ale jako historyczną konieczność, jako fakt poprzedzający wzniesienie się ludzkości na wyższy szczebel, do trzeciego kościoła.[1]) Zapowiedź trzeciego kościoła, trzeciej epoki, epoki miłości, widnieje wszędzie w Krasińskiego dziełach.

„I o trzeciej dobie.... Sprawiedliwość wstanie“
(*Resurecturis*)

„Boże pioruny — nie ziemskie trucizny,
Z upadku martwe dźwigają ojczyzny!
A czy wy wiecie........
.........gdzie ten piorun Boży?
On w piersi ludzkiej drga i zwie się miłość
(*Dzień dzisiejszy*)

„*Galilee vicisti!*“ woła Pankracy po skończonej walce dwóch w świecie ścierających się ideji. Niema zwycięstwa żaden z dwóch rozwiniętych sztandarów, bo nie było pod niemi miłości, lecz samolubstwo stronnictwa. Chrystus czyli najwyższa miłość zwycięża jako panująca na przyszłość zasada. Ta idea chrześcijańskiej miłości żyje w przyszłości, nie znikoma, wieczna, absolutna i dopokąd świat ten istnieć będzie, zostanie jedyną pierwotną ideą rozwoju lndzkiugo. Tę ideę prowadzi, naród polski, za nią poświęcił się, a to mu daje wiarę, wiedzę zmartwychwstania. Ten pierwiastek miłości i wolności bratniej pomiędzy ludźmi i narodami, jest to jedyna idea dodatnia, wypływająca z walki zasad.[2])

**) Czyli dla objawienia Bożego. Duch św. ma nam drogi ludzkości objawić i objawienie tworzyć będzie podstawę trzeciej epoki świata. Skorzystała zapewne z tego towiańszczyzna, przypisując sobie posiadanie objawienia i missję budowania epoki trzeciej.

***) Samowładztwo rozumu i objawy filozofji słowiańskiej. Poznań 1874. str. 161.

[1]) Stanisław Tarnowski. Przedmowa do zbioru pism Krasińskiego. Lwów 1875. str. XXIX.

[2]) Dra. Wojciecha Cybulskiego odczyty o poezji polskiej 19. wieku, tłom. Fr. Dobrowolski. Drezno 1870 T. II. str. 224.

*) Bronisława Trentowskiego listy naukowe (O Florjanie Bochwicu, Antonim Bukatym i Eleonorze Ziemięckiej) list II. „Orędownik naukowy“ Poznań 1842.

rosyjskie zamykano, a Stanisław August podpisywał akt abdykacji, — łamały się pióra pisarzy polskich, bo

„Ta, co od morza, aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę.“

Więc

„Składam nieudatną na nic już w tej dobie
Szablę, wesołość, nadzieję
I tę lutnię biedną!...
Oto mój sprzęt cały!
Łzy mi tylko jedne
Zostały!...“

odzywa się Karpiński w żalach Sarmaty i istotnie roztrzaskał lutnię, umilkł, jak umilkli inni, jak złamany na duchu Naruszewicz, jak obłąkany Kniaźnin, jak zdziwaczały sławny *tueur de Marquis* Trembecki, Zabłocki itd. „Ostatnie karty tej literatury, są najtragiczniejsze — jest to orszak pogrzebowy odprowadzający ojczyznę do grobu; wszyscy pisarze pomarli w żałobie i rozpaczy“.*) Rozpacz ta wypłynęła z utraty nadziei w siłę zewnętrzną jakiegokolwiek kształtu, bo alianse zawiodły, polityka europejska przeciw Polsce się obróciła i wszystko na zewnątrz zabójczą dla nas przybrało postać, a wewnątrz siebie samych, w narodzie samym nie uczuwano sił żadnych, któreby zwiastowały odrodzenie przez własną pracę, własnym sił zasobem.

Rozwija się potęga genjuszu Napoleona w całym blasku, błyskawicami miecza rozdzierająca kartę Europy, rosnąca w tron najpotężniejszy, na gruzach starych tronów Europy i niedziwota, że naród polski poszedł pod jej sztandar i krew rzuciwszy na targowicę, za jej walutę chciał kupić wolność dla siebie. Porzucił rozpacz, rozpalił się nadzieją i śpiewał: „Jeszcze Polska nie zginęła.“ To pierwszy, silny głos obudzonej wiary narodu, tej wiary — którą potem coraz wyraźniej, coraz jawniej wyrażali wieszcze. Legjony, księstwo warszawskie, odwrót z pod Moskwy, Waterloo — wszystko to niesłychanie prędko przesunęło się na widowni dziejów, jak krwawa narodów tragedja, w której Polsce najsmutniejsza przypadła rola. Gdy książę Józef ginął pod Lipskiem, gdy Welington śmiertelny cios wymierzał Napoleonowi, gdy wreszcie zakończył się kongres wiedeński i potrójne przymierze powstało, na nowo w trumnę się kładły nadzieje wszystkie narodu — ale w tych klęskach, w tych biedach narodowych, wiara w przyszłość lepszą nie przepadła. Zrozumiano, że naród nie ginie, jeżeli sam ginąć nie chce, że życie narodu nie przepada z utratą bytu politycznego. Tę wiarę wypowiada Woronicz, wypowiada Brodziński, a w ślad za tem rozbudza się dzielnie życie umysłowe. Pojmowano dobrze, że taką należy rozwijać potęgę, któraby mogła rozerwane części narodu, duchowo w jednym utrzymać kierunku. Tą potęgą nie mogło być nic innego, jak literatura na podstawie narodowej oparta. Ztąd też z walk i klęsk legjonów, z zapasów armji księstwa warszawskiego, wyrasta zawiązek najpiękniejszej epoki piśmiennictwa naszego. Jęto się pracy z zapałem, odgrzebywano zakopane śród ludu tradycje narodowe, wsłuchiwano się w tętno fantazji ludowej, a materjał poetyczny tam znaleziony, posłużył za podwalinę prawdziwie narodowej literatury. (C. d. n.)

*) Literatura słowiańska A. Mickiewicza. Rok II. Lekcja 19.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

(Patrjarcha z Theyboo. — Seminarjum i pałac biskupi — Nowy Abelard i Heloiza. — Klasztor zakonnic. — Skarby roślinne i zwierzęce. — Wyświęcenie księży. — Ceremonje religijne. — Pożegnanie. — Wielka radość. — Tragiczny koniec.)

Projekta, które mnie zapędziły do Mandelay, stolicy Birmanji, wzięły zły obrót; stosunki moje z ministrami państwa stawały się coraz bardziej naprężone, a bezczynność w jakiej pozostawałem z powodu mojej fałszywej pozycji, tak mi się uprzykrzyła, że aby ją przerwać, powziąłem zamiar zbadania różnych kwestyj, które mogłyby w przyszłości mniej lub więcej oddalonej, wpłynąć pożytecznie na handel, przemysł, a może i politykę Francji. Zwidziłem przeto część Munipuri i zapędziłem się na granice południowo-zachodnie Chin, Stanów Shans, kraju Laosów i Kharensów, w celu produktów roślinnych i mineralnych. Chciałem także przekonać się o możebności zawiązania komunikacji bezpośredniej między Birmanją, Bengalem, prowincjami Assam, Botam i Nepal, z jednej, a Chinami, Siamem, Kambodżją z drugiej strony. Przedsięwzięcie takie wydało mi się wcale łatwem do wykonania, i niedalekim jest zapewne dzień, w którym Anglicy myśl tę urzeczywistnią, a wtedy wypłyną smutne następstwa nie tylko dla Birmanji, lecz i dla interesów Francji. Wycieczka moja przedłużyła się po za termin zamierzony, skutkiem czego byłem zmuszony spiesznie wracać.

Wkrótce atoli nadarzyła mi się sposobność powetowania przykrości jakiej doznałem, mijając ciekawe okolice w tak szybkim powrocie. W Maudelay zawiązałem dość ścisłą znajomość z jednym przełożonym, czyli *Tsaya*, zakonu budajskiego, i ten w częstych wycieczkach do dworu, na którym był dobrze widziany, prawie zawsze zawadzał o mój dom, położony u wnijścia alei prowadzącej do pięknego mostu, który łączył z miastem brzeg przeciwny rzeki, gdzie kilka klasztorów zbudowanych w niewielkiej od siebie odległości, wznosiły się otoczone pięknemi ogrodami. W rozmowach naszych często wspominaliśmy prowincjała z okręgu Theybo, szanownego starca, który ugaszczał mnie z serdeczną uprzejmością, gdym w czasie mej wycieczki ku wschodnim granicom wstąpił do jego okręgu. Dnia pewnego przełożony zawitał znów do mnie i wśród rozmowy zapytał czy nie zamierzam zwidzić okolicy Theybo.

— Nie wiem jeszcze — odrzekłem — chociaż w tym względzie radca stanu (Ouondouek) robił mi już propozycję, ofiarując w razie gdybym przedsięwziął tę podróż, wszelkie ułatwienia. Miał on na pograniczu wzmiankowanej prowincji swoje posiadłości, w których produkował gatunek herbaty uprawianej w Birmanji, i życzył sobie bym zwidził naocznie jego plantacje i objawił zdanie, czy produkt ten może być przedmiotem handlu z Francją.

— Jeżeli się pan zdecydujesz na tę przejażdżkę — ciągnął dalej przełożony — nieomieszkaj odwidzić *Tsaya-dauha* (prowincjał-arcybiskup) który pana o to mocno prosi. Zdrowie jego znacznie się pogorszyło, a chociaż nie jesteś lekarzem, posiadasz jednak całe jego zaufanie, i chciałby się więc koniecznie ciebie poradzić. W przyszłym miesiącu nastąpi wyświęcenie księży, z którą to ceremonią wiążą się obrzędy religijne, posty i inne przepisy, bardzo męczące dla prowincjała. Pan swoją radą mógłbyś mu ulżyć... pozyskał byś jego przyjaźń.... a kto wie, czy by się to na co nie przydało.

Miałem z sobą podręczną apteczkę, i w rzeczy samej powiodło mi się ulżyć w cierpieniach kilku osobom. Nie przywiązywałem żadnej wartości do moich powodzeń lekarskich, i anim myślał występować w roli doktora, w której bym nie mógł wytrwać do końca, ale w tym wypadku jak tu było nie uledz pokusie? Mogłem zrobić przyjemność godnemu starcowi, widzieć ceremonię wyświęcenia księży, i zabawić się w dodatku pięknem polowaniem w posiadłościach Ououdoucka. Projekt wydał mi się tak czarującym, że dłużej się nie namyślając, upoważniłem przełożonego, aby zawiadomił prowincjała o moim przyjeździe. Radcy stanu oznajmiłem sam moje przedsięwzięcie, i w tydzień wyruszyłem w podróż z moimi dwoma nieodstępnymi sługami Józefem i Lougle; Desire został z żoną w Mandelay.

Łódź radcy była wcale wygodna, i w trzy dni byłem już w Theybo, płynąc w górę rzeki Mhyet-Nghy. Tsaya-dauh, przyjął mię z otwartemi rękami; poczciwy starzec cierpiał na wątrobę, a krajowi lekarze po mału wpędzali go do grobu swojemi piekielnemi lekami, rozbijając mu piersi i wygniatając żebra nacieraniami, które miały niby rozpędzić kamienie żółciowe, nagromadzone w przejściowych kanałach. W Birmanji wszelkie smarowania i nacierania są aplikowane za pomocą silnych tarć wzdłuż i wszersz, a używają ich za lada sposobnością. Sprawiają one dobry skutek na zwykłe kolki lub tym podobne bole, lecz gdy cierpienie pochodzi choćby z najmniejszego zapalenia, wywołują najsmutniejsze następstwa.

Z poradnikiem w ręku przepisałem prowincjałowi cały system leczenia, zastosowany do jego konstytucji zniszczonej wiekiem i chorobami. Czwartego dnia nastąpiło polepszenie, i wtedy pomyślałem o wycieczce mojej do plantacji radcy.

W tydzień byłem z powrotem. Nad samym wieczorem dobiliśmy do Theybo, i natychmiast wysłałem mego służącego do klasztoru, o milę oddalonego od rzeki, z zapytaniem o zdrowie prowincjała. Longle z właściwą sobie gorliwością wypełnił zlecenie, i przyniósł mi pocieszającą wiadomość, że prowincjałowi znacznie lepiej, wraz z serdecznemi jego słowy powitania i prośbą bym zaraz z rana udał się do Kyoungu. Prowincjał od jutra rozpoczynał rekolekcję poprzedzającą ceremonię wyświęcenia księży, i życzył sobie przedtem jeszcze przyjąć mnie osobiście i pomieścić.

Przed wschodem słońca przysłano po mnie dwa wozy zaprzężone dużemi bawołami; wozy były przykryte i ozdobione różnemi wyrzynaniami. Józef, który miewał swoje pomysły, przystroił nasz ekwipaż w skóry z danieli, panter, w pióra bażantów i obwiesił całym łupem przywiezionym z polowania. Śmiałem się serdecznie z tej scenicznej dekoracji, Józef był zachwycony swojem dziełem, i tak się w niem zatopił, że już dobrze słońce zeszło gdyśmy przejeżdżali przez miasto, zadziwiając gapiącą się ludność. Przed samym klasztorem wyprzedziłem nasze pociągi; prowincjał wyszedł na przeciwko mnie witając serdecznie.

— Tobie winienem *Booghuy* (panie dowódco).

wdzięczność za moje zdrowie — przemówił wzruszonym głosem. — Ach! bo widzisz ja dużo przywiązuję do niego, nie ze względów jednak osobistych, ale że mi go potrzeba do wykonania obowiązków mojego stanu.

— Jestem szczęśliwy widząc szanownego prowincjała o tyle silniejszym. No, jeszcze trochę cierpliwości, a jeżeli Bóg pozwoli, zdrowie powróci w zupełności.

— Mam wszelką nadzieję, modliłem się tak szczerze o nie. Ale, ale, jeszcze jedno pytanie: Czy mam dalej przestrzegać tych samych przepisów lub może pan zmienisz co w kuracji?

— Jeżeli się nie mylę, mamy jeszcze dwie doby do dnia wyświęcenia?

— Tak jest, ceremonja rozpocznie się dopiero pojutrze.

— Nie zmienimy więc nic w systemie kuracji; tylko dodam jeszcze jeden środek wzmacniający i polecę posilne potrawy.

— *Hamuch!* ależ to czas postu... Nam teraz nie wolno spożywać pokarmów przed zachodem słońca.

— Cel uświęca środki. Powody jakie cię skłaniają *Phra* (władco) do omijania przepisów, wytłumaczą dostatecznie przekroczenie. A więc lekkie śniadanie gdy wstaniesz z łóżka i wieczerza z zachodem słońca, to nie za wiele dla rekonwalescenta.

— Ha, trzeba będzie i to uczynić gdy tego wymagasz — odparł prowincjał z głębokiem westchnieniem. Jakie wzniosłe poczucie obowiązków! Byłem prawdziwie rozrzewniony widząc walkę odbywającą się w tym wycieńczonym chorobą starcu, walkę między poczuciem zachowawczem a myślą przełamania reguły klasztornej. Wśród naszej rozmowy nadjechały wozy i wtoczyły się przez główną bramę na dziedziniec.

— Kazałem przygotować na wasze przyjęcie ten *zayat* (dom odpoczynku) w którym gościmy naszych współbraci w czasie zjazdów. Będzie tu panu jak we własnym domu, i możesz zwidzać do woli cały nasz zakład. Tylko proszę, zaleć twoim sługom by uszanowali ogrodzenia.

— Nie ma obawy pod tym względem, ja za nich odpowiadam. — Lecz czy ten lokal nie będzie potrzebnym na pomieszczenie licznych widzów, którzy zapewne nie omieszkają przybyć na ceremonję?

— Niech cię to nie obchodzi *Booghuy*, nasz klasztor jest dość obszerny byśmy ich wszystkich ugościć mogli.

Wozy stanęły przed rodzajem pawilonu z drzewa, zbudowanego w kształcie kiosku i zaczęto je wyładowywać.

— Tylko proszę, nie kłopocz się pan o żadne prowianty, zostaw to innym do obmyślenia.

— Zgadzam się *Phra* ale pod jednym warunkiem. Ponieważ posilny pokarm jest wam niezbędnie potrzebny do zdrowia, a kuchnia wasza, domyślam się musi być okropna, z twojem więc przyzwoleniem będziemy objadować razem, a mój kucharz przyrządzi potrawy. Nie narażaj się wielebny ojcze na recydywę...

— Opanowałeś mnie całkowicie *Booghuy!* Gdy więc tego koniecznie potrzeba, rób ze mną co chcesz; jeżeli grzeszę, Bóg co zgłębia tajniki myśli przebaczy mi przez wzgląd na pobudki które mną kierują.

Prowincjał chciał odejść na pobożne swoje kontemplacje; widząc to wręczyłem mu jeszcze flaszkę wina chinowego, które w Mandelay przyrządziłem dla niego z domięszaniem Xeresu, polecając, by wypijał po dwa kieliszki dziennie.

— Zastosuję się do pańskiego systemu — odpowiedział — i stosownie do przepisów naszych. Jem dla zaspokojenia głodu, a nie by dogadzać podniebieniu. Toż samo jeżeli dom, który zamieszkuję, jest wspaniały, nie powinienem chełpić się z tego, ponieważ nie moją osobę, lecz ministerstwo, jakie spełniam, pobożne dusze chciały uczcić swojemi darami. Jeżeli przywdziewam kosztowne szaty dla odprawiania ceremonji mojego obrządku, czynię to przez uszanowanie dla godności którą piastuję a nie z uczucia fałszywej pychy.“ W tym samym duchu, aby odzyskać zdrowie potrzebne dla dopełnienia mojej powinności, używać będę w godzinach, w których nie powinienem przyjmować żadnego pokarmu, lekarstwo twoje, nie wiedząc nawet czy ono zawiera napój nam wzbroniony.

Z temi słowy starzec skłonił mi się uprzejmie i wstępując po schodach prowadzących do głównego budynku, obrócił się raz jeszcze, przesłał przyjacielskie skinienie i zawołał:

— Do widzenia dziś wieczór. Pamiętaj pan!

— Nie zapomnę!

Księża budyjscy odznaczają się po największej części uprzejmością dla cudzoziemców; niektórzy wszakże mają pewien pozór nieśmiałości, dający się łatwo usprawiedliwić u ludzi odosobnionych od świata; ale są i tacy, którzy oblekają się w pogardliwą wyniosłością spoglądając z góry na świeckich ludzi. Są to jednak wyjątki od których dalekim był nasz poważny Tsayadauh. Umiał on połączyć z rzadkim taktem słodycz ze stanowczością, a prostoduszność z powagą. Skromność pochodziła u niego z poczucia własnej godności; nigdy w nim nie dostrzegłem cienia fałszywej dumy, nigdy uroszczeń do wielkości po za obrębem jego duchownej władzy.

Moje mieszkanie znajdowało się w budynku, którego przeznaczeniem było osłaniać gościnnym dachem podróżnych i pielgrzymów. W Birmanji każda wieś posiada podobne schronienie, a klasztory stawiają najczęściej gościnne domy, zwane *Zayat*, w pobliżu, chociaż po za obrębem swych murów. Tylko w Theybo, rozległość i piękność posiadłości khyoungu, oddalenie jego od miasta i wysoka godność przełożonego usprawiedliwiały budowę w otoczeniu klasztornem.

Z kształtu był to budynek zbliżony do rodzaju jednopiętrowego pawilonu, którego całą przestrzeń zajmowała jedna sala, na wysokości półtrzecia metra od ziemi. Skielet z drzewa był oszalowany deskami; szerokie schody prowadziły do wnętrza, a dokoła obiegała galerja, raczej weranda, podtrzymywana rzędem kolumn, pod któremi wolne miejsce służyło na skład rzeczy, lub w potrzebie za schronienie dla jucznych zwierząt. Wewnątrz sala była pusta; za to galerja odznaczała się pięknemi słupami, a fasada, przysionek, narożniki i szczyt, były ozdobione niezrównanemi wyrzynaniami z drzewa. Przez grzeczność dla mnie, i względy jako dla cudzoziemca, urządzono w jedym rogu sali, za pomocą ciężkiej osłony, oddzielny pokój, w którym był fotel z trzciny, kilka niezbędnych mebli i trzy materace położone na ziemi, na kształt łoża; takie same przegrodzenie zrobiono z mat bambusowych dla moich ludzi.

Po rozgoszczeniu się w nowem mieszkaniu przekąsiłem na prędce śniadanie i wyszedłem zwidzieć okolice, poczem miałem obejrzeć cały zakład we wszystkich jego szczegółach. Na werandzie czekali już na mnie dwaj przewodnicy: braciszek i nowicjusz. Chcąc najpierw zdać sobie sprawę z ogólnego wrażenia jakie na mnie zrobi kyoung i jego otoczenie, widziane z odległości, wyruszyłem w pole z dwoma milczącymi towarzyszami. (C. d. n.)

Szabla — Niewolnica.

Są łzy, któremi płakać nie można;
Uśmiechy, z których szydzić bezbożna;
Są troski skryte i skryte bole,
Co choć nie żłobią zmarszczek na czole,
Lecz każde duszę tak targa, nęka,
Że biedne serce w kawały pęka!

Ileż straszniejsza — kiedy *rzecz* jaka,
Droga pamiątka sercu Polaka,
Którą w czci nosił przez długie lata,
Z za krat więziennych doń zakołata!

Rzecz, rzecz bezduszna... a przecież oto,
Tak ciężko boli nad swą sromotą,
Że choć skarg swoich nie zaklnie w słowo
Stokroć się skarży własną niemową.

Jest w carskim Kremlu pewna pałata,
W której zamknięto skarby z półświata.
Pełno ich wszędzie, jakby posiane!
Czy to zdobyte? nie — zrabowane!
Na każdej rzeczy co tutaj leży,
Można kłaść napis: „Idzie z grabieży“
Aby zrozumieć tych skarbów mnóstwo,
Co złotem kryje ducha ubóstwo.

Pomiędzy hełmy, pancerze lśniące,
Od których światło bije płonące,
I w siedmiobarwną tęczę się mieni,
Łyskając blaskiem drogich kamieni,
Leżą szablice stare, skrzywione,
Jakby je w swoję brały obronę.

Jedna turecka: pyszne klejnoty
Spływają z głowiec na brzeszczot złoty;
Inna kaukazka — długa, dwusieczna,
Jak walka wieczna — i zemstą wieczna;
A inna jeszcze snać bardzo dawna!
W boju zużyta, w jaszczur oprawna,
W orła misternie rzeźbiona główka,
O! mocny Boże! to *Batorówka!*...
Jakaż tę szablę wniosła tu klęska?
Szablę szczerbioną u bram Smoleńska?
Którą król wielki, bohatyr w boju,
W dziesięcioletnim piastował znoju,
I którą gromił zwycięztwu gwoli,
Tych, co ją dztsiaj dzierżą w niewoli?

O! tak... ta szabla, co niegdyś grzmiała
Na karkach Moskwy, skrwawiona cała,
Dzisiaj złożona tu na sen wieczny...

Lecz gdy w dzień sądu, w dzień ostateczny,
Bóg, co proch każdy ma w swojej pieczy,
Rozbudzi z martwych ludy i rzeczy:
Anioł, co broni twierdzy wieczystej
Ujmie ją w dłonie jak miecz ognisty,
I mieczem owym nakształt pochodni
Zagrodzi drogę żdzierstwu i zbrodni! *)

Wł. B.

*) W znakomitym artykule p. St. Tarnowskiego „Z Moskwy“ w listopadowym zeszycie „Przeglądu Polskiego“, zawiera się ustęp o szablach polskich znajdujących się w Kremlinie w Orużennoj Palatie (zbrojowni) z których najciekawsza ma być szabla Batorego! Co za gorzka ironja! Szabla-gromicielka w niewoli u wrogów. Z więzienia swego woła też biedna szabla złotym napisem na stali brzeszczota: „Judica Domine nocentes mihi et expugna impugnantes me.“ Nie znam nad ową bardziej wymowniejszej i boleśniejszej zarazem skargi!...

Bitwa pod Iłżą

w r. 1831.

Z PAMIĘTNIKÓW E. BERZEVICZEGO. *)

...... Powtórnie tedy wybrałem się z domu w towarzystwie Anakleta Bohdanowicza, który miał ekwipaż i wierzchowca — z przedsięwzięciem zaciągnięcia się do głównej armji, i to mianowicie do kawalerji.

We Lwowie zaopatrzyliśmy się we wszelką broń dla kawalerzysty potrzebną, a w Zboiskach znalazł się i wierzchowiec dla mnie, którego zacny właściciel śp. Ignacy Nikorowicz, oddał mi ochotnie nie pozwalając ze względu na cel, któremu miał służyć, wspominać sobie o zapłacie. Była to klacz biała, z pod oficera czerwonych huzarów rossyjskich, a zdobyta pod Boremlą przez jednego z naszych oficerów i w przechodzie przez Lwów do Węgier, obecnemu właścicielowi sprzedana. Wspominam tu o niej, bo mi się później takiego ognia i wytrwałości konia znaleść więcej nie zdarzyło.

Jechaliśmy tedy do Warszawy przez Zamość, gdzie jenerałowi Krysińskiemu przedstawieni, nader obojętnie przez tegoż zostaliśmy przyjęci. Obojętności tej nie mogłem sobie inaczej tłumaczyć, jak tylko zupełnem znieczuleniem dla całej sprawy, zwłaszcza że jak się później przekonałem nietylko on jeden był takim. — I tak, gdy Karol Różycki przebiwszy się ze swoim pułkiem przez licznego nieprzyjaciela, przyszedł pod Zamość, prosząc o umieszczenie go na krótki czas w fortecy, ażeby mógł po tylu trudach, po stumilowym przeszło marszu, pułk w spokoju do porządku przyprowadzić i mundury z swoich własnych materjałów poszyć: Chrzanowski, ówczesny gubernator Zamościa nie pozwolił na to, lecz wyznaczył Tomaszów pod granicą austryjacką leżący, — a o 3 mile od korpusu nieprzyjacielskiego jenerała Kaizerowa oddalony! W wiosce tej, dzielny pułkownik mógł być każdej chwili zaatakowany; zamiast więc odpocząć musiał bezustannie czuwać, — konie stały posiodłane, furgony pozaprzęgane, tak, że na furgonach szyli krawcy mundury dla wojska... Czwartego dnia był już pułk od fortecy odcięty i tylko nadzwyczajnej czynności i przezorności dowódcy przypisać należy, że zdołał w nocy przez Józefów dostać się do twierdzy. We dwie godziny później już Tomaszów został otoczony przez Moskali!

Wracam do moich wrażeń w Zamościu.

Znaleźliśmy tu kilku znajomych, niezadowolonych ze służby fortecznej, i ci pomogli nam do sprawienia sobie lanc, do przyrządzenia siodeł i do kompletnego wystąpienia jako kawelerzyści. Trzeba więc było dalej dążyć w drogę ku Warszawie. Ale jak wydostać się z fortecy, z której tylko za przepustką wypuszczano? Poszedłem więc do plackomendanta majora, którego nazwiska nie pomnę. Opowiedziałem mu, że służyłem w piechocie Dwernickiego, a obecnie zaopatrzywszy się w konia i broń, jadę do Warszawy zaciągnąć się do głównej armji. — Struchlałem jednak, gdy pan major przybrawszy marsowatą minę oświadczył mi wprost, że przepustki nie da, ponieważ będąc już raz przy piechocie, jako regularny żołnierz do piechoty pójść muszę! — „Ależ panie majorze, ten piechotyniec powinien obecnie znajdować się w Węgrzech, gdzie jego bataljon jest internowany; ja zaś uszedłem z własnej ochoty i znowu jako ochotnik z bronią i własnym koniem zaciągnę się tam, gdzie mi się podobać będzie. Jeżeli więc pan myślisz, że mnie do zostania się w Zamościu skłonisz, to się bardzo mylisz, — wolę raczej wrócić do domu i bezczynnie siedzieć.“

Myślą majora było, zatrzymać nas obydwóch przy kawalerji w Zamościu, — rezonowaniem więc mojem rozgniewałem go, i wtedy oświadczył, że niewiele ojczyzna straci gdy o jednego lub dwóch Galicjanów mniej będzie, tembardziej, że przed trzema dniami już nawet jednego rozstrzelano! I tak rzeczywiście było! — Rozstrzelano Cukaniego ze Lwowa. Uprzykrzyła się nieborakowi służba w fortecy, umknął w celu dostania się do wojska linjowego, — schwytano go i jako dezertera rozstrzelano.

Po takich argumentach wyszedłem zirytowany, ażeby ze znajomymi poradzić się nad sposobem wydobycia się z tego zaklętego koła, gdy w drodze trafiam na dobrze mi znajomego oficera z korpusu Dwernickiego i przed tym użalam się na całą załogę forteczną począwszy od jenerała.

— Ależ nie zważaj na to kolego. Ci starzy oficerowie są rzeczywiście czasem zagadkowi, lecz zdaje się, że nam zazdroszczą młodości i ztąd pochodzi ta cierpkość ich w obejściu się z nami. O przepustkę nie turbuj się. Jutro rano wychodzi z tutejszego szpitala do Warszawy oddział piechoty ze stu ludzi i kilku konnych złożony, z którymi i ja maszerować będę, — przyłączcie się obydwa uzbrojeni i na koniach, i pomaszerujemy razem.

Tak się też stało! Rano w ośm koni i przeszło sta piechoty wyruszyliśmy z Zamościa. W Biłgoraju, (słynnem miasteczku z pięknych sitarek) stanęliśmy na odpoczynek. Mieszczanie przyjmowali nas serdecznie z muzyką, to też gdy się wiara rozlokowała a sitarki zjawiły, rozpoczęła się hulanka co się zowie. Oficerowie — a byli między nimi i sztabowi, tańczyli zapamiętale mazura; — kolega Anaklet nie był również między ostatnimi, i choć mały ale jurny, wywijał pięknemi sitarkami siarczyście, pomimo ostróg, do których jeszcze nie przywykł i co chwila plątał się lub zaplątywał wiotką spodniczkę hożej tancerki. Ja tylko, popasłszy konia patrolowałem z drugim kolegą okolice Biłgoraja, wiedząc że moskale są niedaleko.

Ztąd maszerowaliśmy przez Zawichost, (gdzie nad Wisłą przepędziliśmy kozaków ku Warszawie) bez żadnych przeszkód, i dotarliśmy do Solca, w którem to miasteczku pułk kawalerji Karola Różyckiego ostatecznie został umundurowany i oporządzony.

Poznawszy dzielną młodzież powyższego pułku składającego się przeważnie z szlachty wołyńskiej, daliśmy się z łatwością zaciągnąć do pułku, który taką już okrył się chwałą!

Winienem tu słówko powiedzieć o samym dowódcy.

Pułkownik K. Różycki, nie odznaczał się silną budową, owszem miernego nawet wzrostu mężczyzna, lecz wytrwały na trudy wojenne i nadzwyczaj odważny żołnierz, miał już w ówczas sławę dzielnego dowódcy! I złożył tego dowody w przeszło 130-milowym marszu z Wołynia aż do Zamościa, podczas którego z pułkiem swoim staczał kilkakrotnie zwycięskie utarczki a nawet formalne bitwy. Wówczas gdym go poznał, był w samej sile wieku, uprzejmy w obejściu choćby z najniższym, odznaczający się dziwnie dobrem choć nie miękkiem sercem, niedziw że od wszystkich jak ojciec był szanowany, tak że każdy w ogień byłby poszedł za nim, gdyby tego był zażądał. — Cieszyło nas bardzo, że przypadkowo do tak wyborowego pułku zostaliśmy zaliczeni, i pierwszą zaraz z naszej strony rzeczą było, dać sobie nowe porobić mundurki.

Przez tydzień pobytu w Solcu, uczyłem się obrotów na koniu i robienia pałaszem, — lancą zaś wywijać, sądząc że nie wielka sztuka pchnąć długim kijem wprost siebie, nie uczyłem się wcale. Wiele chwil wolnych spędzałem na polowaniach z kolegami moimi Marcinem Weleżyńskim i Antonim Szaszkiewiczem.

Dnia jednego, wróciwszy z polowania błotnego do domu, położyłem się znużony do snu, nie czekając na kolegę Anakleta, z którym wspólnie mieszkałem. Zabawiał się on w restauracji z innymi towarzyszami i dopiero o północy przebudzony hałasem słyszę, jak gromi mnie i Moskali razem; mnie mianowicie że spioch jestem, że zaniedbuję mustrę, po polowaniach włóczę się, podczas gdy on ciągle ćwiczy się w robieniu lancą i pałaszem.

— I cóż naczyłeś się dziś? pytam dobrze podchmielonego, — widzę bowiem żeś nie marnował czasu. Gdyby na przykład w tej chwili Moskale na nas uderzyli, wątpię, czyliby ci się na co tak dobrze wyuczona mustra przydała!

— Ha! zobaczysz, krzyknął Anaklet, a dobywszy pałasza stanął mi w nogach. — Pozycja moja była przykra, bo leżałem na ziemi pod wielkiem oknem, — gdzie łatwo z niepewnej ręki mógłby się pałasz wyśliznąć i we mnie trafić! A mój Anaklet nuż wywijać szablą młynka, lecz tak szybko, że klingi dostrzedz nie mogłem. Z obawy, ażeby mu się pałasz z rąk nie wymknął i mnie nie skaleczył, kryję się pod kołdrę i wołam: „Zmiłuj się przyjacielu! już widzę, że nie jednego ale stu Moskali naraz porąbiesz w kawałki, lecz schowaj szerpentynę bo ci się gotowa z rąk wyrwać i skaleczysz przyjaciela, który sam przecie ma chętkę zakłuć choć kilku Moskali i w tym celu do Solca przyjechał!“ — W tem istotnie pałasz zafurkotał nad moją głową, szyby brzękły i szkło w bryzgach posypało się na poduszkę. — Parsknąłem ze śmiechu i przyznać mu musiałem, że jeżeli tak będzie tłukł Moskali jak tłucze szyby, to wojna nasza potrwa nie długo.

Anaklet stał jakiś czas zagapiony — po tem przyniósł pałasz ze dworu i nie rzekłszy ani słowa spać się położył, a ja długo jeszcze nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Po umundurowaniu się, został nasz pułk do jenerała Szeptyckiego przydzielony, który z dwoma półbataljonami piechoty dla bronienia Moskalom przeprawy przez Wisłę był wysłany. Zanim się jednak pułk nasz połączył z dywizją jenerała, pułkownik Różycki robił sam dywersję nieprzyjacielowi ucierając się z kozakami w okolicy Tarłowa.

Pod tę porę, dano znać Różyckiemu, że Florjan Rzewuski ma przybyć nazajutrz raniutko z kozakami do Pawłowskiej Woli. Uwiadomiony o tem Różycki postanowił natychmiast na zdrajcę sprawy naszej zrobić zasadzkę. Ucieszyliśmy się

---

*) Jestto ustęp z zajmujących „Wspomnień podporucznika pułku jazdy wołyńskiej“ pana E. Berzeviczego, mających wyjść wkrótce nakładem księgarni Wł. Bełzy. Wpomnienia te, uzupełniają niejako pamiętniki Ig. hr. Komorowskiego, któreśmy w swoim czasie drukowali w „Tygodniu,“ a które tyle budziły zajęcia. Pomieszczając obecnie niniejszy urywek, wyrażamy tu wdzięczność dla szanownego Autora, który nam takowy udzielił.

tą wiadomością, gdyż każdy z nas pałał chęcią dania mu nauczki za jego odstępstwo. Cichuteńko więc wyruszamy do Pawłowskiej Woli i kryjemy się w jakimś budynku mającym kształt obory czy czegoś podobnego, w którym na wszystkich czterech rogach znajdowały się obszerne bramy.

Pawłowska Wola leży nad małą błotnistą rzeczką u podnóża niewielkiej góry, ciągnącej się równolegle z brzegiem strumienia, przez który prowadzi most do gościńca dążącego wprost ku Wiśle. Z tej strony właśnie spodziewaliśmy się przybycia Moskali z kozakami Rzewuskiego. Za mostem zasiedli ukryci w zbożu nasi strzelcy, w celu przepuszczenia kozaków obok siebie przez most do wsi i przecięcia im tym sposobem odwrotu. Za danym znakiem przez wystrzał karabinowy, że kozacy już do wsi wkroczyli, miały plutony nasze, każdy wyznaczoną sobie bramą wypaść, przyczem kapitan Grudziński miał z dziesięcioma ochotnikami pierwszy uderzyć na nieprzyjaciół i tak długo ich zabawiać, póki plutony wyleciawszy z ukrycia za bramą, nie uformują się do natarcia.

Plan był dobrze obmyślany — lecz niestety strzał padł za wcześnie, — i kozacy nie przekroczywszy nawet mostu, uszykowali się przed nim, a widząc tak małą garstkę ochotników wybiegającą przeciwko sobie i nasz pułk za bagnami na wzgórku sformowany, który musiałby znaczną przestrzeń objeżdżać, ażeby się do nich dostać,— spokojnie oczekiwali naszych. — Po pierwszej salwie karabinowej zmięszali się w jeden kłąb, biją się w początku nie źle. — lecz wkrótce choć cztery razy silniejsi, pierzchają.

Na pobojowisku leżało kilku kozaków, ale i nasz koń jeden biegał bez jeźdźca; — jeźdźca porwali kozacy! Wizowski, jeden z ochotników, pierwszy postrzegł konia i poznał, że należy do Budzyńskiego. — Puszcza się więc sam za kozakami, w pędzie nabija wystrzelony karabinek lotkami, a przybliżywszy się na kroków kilkadziesiąt i widząc, że Budzyński trzymany za ręce i nahajkami popędzany ledwie nogami przybiera, daje ognia. Kozacy wrzasli przeraźliwie *„drobom strilajut!“* puszczają Budzyńskiego i sami co sił zmykają. Biedny Budzyński jednaście razy lancą pchnięty i do tego przestraszony, zamiast w przeciwną stronę pomykał jeszcze za kozakami i dopiero Wizoski wziąwszy go za rękę, do wsi przyprowadził i stąd na wozie do nas przywiózł. Pułk cały patrzył na tę scenę, lecz z razu dojrzeć nie mogliśmy, kogo Wizoski odbił.

Budzyński był znany jako śmiały żołnierz, choć dzieciuch jeszcze, bo zaledwie liczył szesnasty rok życia, do tego szczupły i mały, łatwo dał się silnym kozakom unosić prawie na powietrzu! — Szczęściem, że z ran otrzymanych w tej utarczce wkrótce się wyleczył.

O Wizoskim wspomnę w tem miejscu obszerniej, ponieważ będzie i później o nim mowa.

Był on niegdyś strzelcem w obywatelskim domu i poszedł ze swoimi panami wziąć udział w powstaniu. Zabrał z sobą, co mu najmilsze a przytem najpotrzebniejsze było: — konia, nie wielkiego dereszka z nadzwyczajnym ogniem i wytrwałością, którego sam tak doskonale ujeździł, że był może najlepszym w pułku, i za którego grube pieniądze mu ofiarowywano — potem sztuciec krótki, dobry tylko do lotek, i pistolet ze skałką i deklem podsypywany na panewce, — do tego dodano mu lancę i to stanowiło całe jego uzbrojenie.

W marszach bywało, zostawał on w tyle, ażeby z kozakami wiecznie nas najeżdżającymi trochę poharcować, a była to jego najmilsza rozrywka, ponieważ zdawało mu się wtedy, że w kniei na dzikiego zwierza poluje. Ażeby kozaków rychlej ku sobie zwabić, pozostawał daleko za tylną strażą i wolnym krokiem, pochylony, wlókł się niby na swoim koniku. Postawa jego wcale nie wyglądała rycersko, a cóż dopiero gdy się czasami zachwiał jakby pijany lub słaby; — to też kozacy niewiele sobie robili z takiej niepoczesnej figurki i najeżdżali śmiało na niego wrzeszcząc swoje zwykłe *„neujdiosz!“* — Gdy już na strzał pistoletowy zbliżyli się, odwracał się Wizowski, i mierząc z pistoletu, wypalał,— naturalnie, proch tylko spalił na panewce — i począł uciekać. — Ha! mam go, myśli kozak, i już pędzi jak strzała ażeby mu nie dać podsypać, a Wizoski uciekający przypuszcza go na kilkadziesiąt kroków, osadza konia w miejscu, zwraca się i pali lotkami do kozaka, który mu pod lufę wleciał.

Nie było wypadku, aby którego chybił, lub żeby go broń zawiodła! Do którego zmierzył, ten pewnie w prochu się tarzał. Takim był Wizoski! Ilu on Moskali na drugi świat wyprawił, to chyba na ostatnim sądzie się dowie. Liczba ich przechodzi wszelkie przypuszczenia.

Po kilkudniowych i mało znaczących utarczkach, maleńki nasz korpusik zwiększył się przez przybycie jednego bataljonu piechoty — pięciuset strzelców Grotusa, jak również przez przydzielenie do pułku naszego plutonu legji nadwiślańskiej pod dowództwem porucznika Szumlańskiego. W takiej sile staliśmy 9go sierpnia obozem pod Iłżą z jenerałem Samuelem Różyckim, który objął nad nami komendę po odwołaniu z dowództwa Szeptyckiego...

Iłża, miasteczko porządne, murowane, leży na lewym brzegu rzeki Białej. Od północy — na polistej płaszczyźnie zielenią się lasy szpilkowe,— a koło samego miasteczka po prawym brzegu rzeki, wznosi się dosyć przykra góra z ruinami jakiegoś zamczyska, której stoki ciągną się równolegle z rzeką ku południowi, — łagodniejąc i ustając wreszcie ku północnej swej stronie. Po lewym zaś brzegu rzeki świecą łysiną dwie góry przecinające pod prostym kątem tamtą, t. j. od zachodu na wschód i zniżające się stopniowo ku rzece, której niejako ramy stanowią. Obie te góry dzieli głęboki parów, który w dwóch tylko miejscach t. j. raz pod miastem i znowu potem nieco dalej bezpiecznie przebytym być może.

Na jednym z tych pagórków, od strony północnej, u którego podnóża jak to wyżej rzekłem leży miasteczko, staliśmy na południowej stronie — po za sobą.

Około godziny dziesiątej rano strzeliły nasze wedety od strony północnej i widać było kłęby kurzu wzbijające się nad lasem.

— Do koni! — zabrzmiało, — kiełznać konie!

Gdy tak kiełznaniem i podciąganiem ryngortów (Wizoski obok mnie) zajeci jesteśmy, nadjeżdża do nas na dzielnym karym koniu adjutant nasz Dzierzek i ofiaruje Wizoskiemu 50 dukatów za jego dereszka. — „Czyś Pan oszalał? czy kpisz ze mnie? Za cały worek dukatów nie dałbym go w tej chwili, alboż Pan nie widzisz Moskali? Za pół godziny zetrzemy się, a ja bez konia chybabym do piechoty poszedł? Odjeżdżaj pan sobie z Bogiem i daj mi święty pokój.“

— „To zamieniaj się ze mną, dam ci trzydzieści, rzekł Dzierzek, A wszakże i mój koń wart najmniej 50 czerwieńców.“

Nareszcie gdy widzi, że z Wizoskim trudna sprawa, proponuje mu zamianę tylko do tej jednej bitwy, po której każdy swego konia zatrzyma, w dodatku zaś ofiaruje mu 10 dukatów z góry.

Znudzony zapewne natarczywością oficera, a może i trochę zachęcony dziesięcioma dukatami, które za nic prawie uda mu się otrzymać, gdy do tego jeszcze Dzierzek zeskakuje ze swego konia i całując prosi Wizoskiego o zamianę, ten zezwala i Dzierzek siada na dereszka. Wizoski na karoszu wyglądał jakby oficer sztabowy; — przepowiadałem mu żartując, że na tym koniu guza sobie napyta. „A to dla czego?“ zapytał. — „Bo będą cię na cel brali — wyglądasz co najmniej na pułkownika.“

Tymczasem zbliżyli się Moskale tak, że już ich dobrze dojrzeć było można. Pułk piechoty i półbaterja armat postępowały po prawej stronie rzeki, dążąc wciąż ku miasteczkowi, a pułk noworossyjskich dragonów pod pułkownikiem Howen, przeszedłszy gdzieś przez rzekę, szedł z lewej wprost ku nam; lecz piechota o wiele go wyprzedziła.

Brygadą nieprzyjacielską dowodził jenerał Kwietnicki.

Nasz jenerał Samuel Różycki czekał w mieście z bataljonem legji litewsko-ruskiej pod komendą pułkownika Kwiatkowskiego i pięciuset strzelcami Grotusa i Gedroicia; drugi bataljon mięszany z kosynierami pod komendą Nideckiego stał pod miastem od strony naszej i wcale czynnym nie był. Szczupły pułk Wołyniaków, bo ledwie trzysta koni liczący, ustawił się w jeden szereg wyciągnięty, na szczycie pierwszej góry frontem ku dragonom, którzy jeszcze w dość znacznem oddaleniu od nas się znajdowali. — Piechota zaś rossyjska z armatami dochodziła już do miasta.

Moskale wyciągnęli armaty swoje na górę około zamczyska i poczęli palić z nich do nas, lecz prawie równocześnie piechota ich została rzęsistym ogniem bataljonu Kwiatkowskiego przyjęta, który bronił przejścia mostu. Strzelcy zaś rozlokowani po domach zasypywali gradem kul cisnących się Moskali — i bitwa na dobre zawrzała.

W początku, walczyły obie strony uporczywie; lecz później zaczął bataljon nasz przed pułkiem moskiewskim ustępować z placu. Widząc to Samuel Różycki zeskakuje z konia, chwyta za karabin i na czele bataljonu wypiera Moskali bagnetem napowrót za most. — Rozjuszeni Moskale, nie mogąc dać sobie rady, chwytają się swego zwykłego środka, to jest, rzucają granaty do miasta — zapalają je i tym sposobem zmuszają nasze wojsko i mieszkańców wynosić się ku stronie, po której pułk nasz był uszykowany.

Podczas, gdy całe miasto bucha w płomieniach a kłęby dymu z palących się tłustości i spiritusów zasłaniają czarną chmurą widnokrąg, po którym jak ogniste meteory błyskają w przelocie palące się gonty i drzazgi: — pułk dragonów zbliżył się do nas na strzał kartaczowy! — Chwila była decydująca, tem bardziej że nie mieliśmy ani jednego działka... Ośmieleni łatwością zwycięstwa — a raczej kompletnego zniszczenia nas, zbliżają się ku nam coraz więcej... Przeważni liczbą, bo trzech Moskali na jednego z naszych, ośmiela tych tryumfatorów! W tem, dowódca nasz, Karol Różycki obejrzał się na parów, skinął i zakomenderował: „Pułk! Lewe ramię na przód, frontem w tył! — Marsz!“

Uchodzą! pomyśleli zapewne Moskale; a

może i to mniemanie mieli mieszkańcy miasta, ba, nawet sam jenerał Samuel Różycki patrząc, z bijącem sercem na nasz manewr. — Tymczasem pułk nasz przeszedł z trudnością parów i na szczycie drugiej góry stanął frontem w jednym szeregu.

Dragoni przeszedłszy pagórek, który przed chwilą opuściliśmy, stanęli nad parowem; Pułkownik ich długo go obzierał i jak domyślać się godzi, dziwił się, żeśmy przejść go zdołali.

Ja stałem na prawem skrzydle obok porucznika Marcina Weleżyńskiego słuchając, co sobie pod nosem mruczał. „Hultaje! mówił, gotowi jeszcze nie przejść parowu; a toby nam narobili wstydu! Jak mi się zdaje, pułkownik sprowadził nas tutaj, ażeby Moskali przywabić do tego parowu i pozwolić im, aby się w nim wygodnie do góry brzuchami wylegiwali!“ Mruczał, klął, nareszcie nie mogąc dłużej wytrzymać pocisnął konia i poleciał jak strzała na Moskali.

— Oszalał! pomyślałem, sam szarżuje na pułk cały!

Jest to zdarzenie rzadkie, wyjątkowe, które podziwiał pułk cały! — Wszak je pamiętacie dobrze, wy, jeszcze przy życiu będący towarzysze moi?... Pomnicie, jak wszystkim nam tchu w piersiach brakło, — jak mimowolnie jeden drugiego wzrokiem pytał co ten szaleniec pocznie z całym pułkiem nieprzyjacielskim?!

Tymczasem Marcin przeleciawszy nad parów, rozprawiał coś z pułkownikiem dragonów, (choć trochę za późno, — bo już wtedy gdy ku nam pędził) — osadził konia i stanął znowu w szeregu.

— Cóżeś tam kolego z nim rozmawiał? zapytałem. — „Powiedziałem im, że parów ten z łatwością przeszliśmy, więc i ich nie powinien wstrzymywać“ — odrzekł.

Pułkownik Howen, widać oburzony pożegnaniem się Marcina, rozkazał pułkowi niezwłoczne przejść parów!

Na dobry strzał karabinowy od dragonów stał bataljon Nideckiego ukryty w jakichś dawnych szańcach i nie dał ani razu ognia; — wspominam tu o tem, bo jak wtedy na niego sarkałem, tak dziś jeszcze tej obojętności darować mu nie mogę.

Przeszli tedy dragoni parów — rozsypali tyraljerów, postępując wolno na drugą górę ku naszym szeregom. Pułk nasz nie wysyłał tyraljerów, ponieważ i tak już małej garstki nie można było rozrywać. Moskale przybliżyli się na strzał pistoletowy, a my jeszcze spokojnie stoimy i czekamy na większe zbliżenie; — ale kolega Marcin gorączka, kręcąc się na siodle, nie mógł widać dłużej wytrzymać i zdaje mi się że bez komendy — (ja jej przynajmniej nie słyszałem) — wyskoczył naprzód i huknął silnym głosem nasze zwykłe bojowe hasło: „Sława Bogu!

— „Sława Bogu!“ odkrzyknęła wiara, i jak uragan lecimy naprzód z lancami najeżonemi, niosąc na ustach nasze bojowe hasło. — Tyraliery moskiewscy kryją się za pułk, ten zaś, gdy na kilkanaście kroków doń zbliżyliśmy się — stanął jak mur. To niespodziane zachowanie się dragonów tak nas zdekoncertowało, że i my dobiegłszy przed sam front moskiewski na siedm lub ośm kroków, stanęliśmy jak wryci.

Powodem zatrzymania się moskali było, że tylko dwa nasze szwadrony zaatakowały dragonów, — trzeci swadron, przy którym był dowódzca pułku, nie ruszył się z miejsca; — obawiali się więc Moskale jakiejś zasadzki.

Po zetknięciu się naszem trwała chwila wzajemnego gapienia się, potem padł strzał jeden, drugi, nareszcie ogień rotowy z pistoletów i karabinków, — z razu dość rzęsisty lecz w końcu coraz rzadszy, cichszy — aż wreszcie ustał zupełnie.

Po wystrzałach już, nadbiegła reszta naszego pułku i skompletowała nas na lewo, a pułkownik Różycki okrążając nasze prawe skrzydło, wjeżdża obok Marcina i mnie krótkim galopem w szpaler paro-sążniowy między nasz pułk a ustawionych do boju dragonów. (C. d. n.)

POGADANKI.

XII.

Melancholiczne mamy czasy, wypełnione pogrzebami, klęskami i smutkami różnego rodzaju. Potrzeba nadludzkiej siły, albo nadludzkiej obojętności, ażeby w takich warunkach nie stracić humoru i — apetytu. To też niedawno przedstawiono nam tu publicznie dowód, jak dalece pp. piekarze liczą na zmniejszoną zdolność konsumowania u swoich klientów. Do redakcji *Dziennika Polskiego* nadesłano z Tarnopola bułkę, którą później umieszczono na wystawie, i która rzeczywiście zasługiwała na ten zaszczyt. Mikroskopiczne to arcydzieło wielkością i kształtem przypomina dwa ziarnka pszenicy, zlepione razem, a co najciekawsze, to że pomimo tak małych rozmiarów przez szczelinę w skórce można było przekonać się, iż bułka wewnątrz jest próżną. Cena tej osobliwości, licząc już materjał, konfekcję, procent od włożonego kapitału i prowizję sprzedaży, wynosi razem tylko dwa centy waluty austryjackiej, podczas gdy korzec pszenicy na targu sprzedaje się we Lwowie po 7 zł. reńskich, albo raczej, byłby sprzedawanym, gdyby się znaleźli odbiorcy. Jakim sposobem piekarz tarnopolski, który nazywa się p. Merl, może przy tem wszystkiem egzystować, to jest dla mnie prawdziwą zagadką. Według dokładnych obliczeń, z korca niepodobna jest upiec więcej jak 250.000 takich bułek, nieszczęśliwy przedsiębiorca musi przeto wypiec dwa korce zboża, nim zarobi brutto 10.000 zł. Z tego widzimy, jak mało jeszcze rozwiniętym jest przemysł w naszym kraju. Pochodzi to z braku ducha kupieckiego w narodzie, a główną przyczyną złego jest lichwa żydowska. Dla czego? Nie wiem — ale powtarzam to, bo bardzo wielu mądrych i światłych ludzi tak powiada. I powtarzam także, że mamy nędzę, głód i nieurodzaj okropny; nikt nie chce dawać pieniędzy darmo, a bez pieniędzy nie podobna kupić nawet takiej tarnopolskiej bułki, i tyfus głodowy będzie nieuniknionem następstwem tego stanu rzeczy....

Ale żart na stronę. Nie dla oryginalności, ale na pewnych podstawach ośmielam się twierdzić, że narzekania tegoroczne są mocno przesadzone. Tu i owdzie zbiory wypadły złe, tu i owdzie brak paszy dla bydła, ale ceny zboża świadczą najlepiej, jak dalece miejscowe te braki są wyrównane. Ceny te w stosunku do cen pracy są niezmiernie niskie, i jeżeli czyj los zasługuje na ubolewanie, to los sprzedających, a nie kupujących. Dzienniki w najlepszej wierze, na podstawie fałszywych informacyj, zaalarmowały kraj i zagranicę, a tem samem, przyczyniły się do odstręczenia kupców od szukania interesów w Galicji. Przy tej sposobności szlachetna, ale źle zastosowana filantopja dała znowu niebezpieczne hasło przychodzenia ludowi z pomocą z góry. Mniej ludzkim, ale nierównie pożyteczniejszym sposobem byłoby zostawić go trochę własnym siłom — a już najzgubniejszą dla niego rzeczą jest przyzwyczajenie go do zapomóg bezzwrotnych. Nie jeden powtarza po cichu, ale nikt nie miał jeszcze odwagi przedstawienia kwestji z tej strony i wywołania dyskusji publicznej. To pewna, że póki lud wiejski nie przestanie być pieszczonem dzieckiem całego świata, póty nigdy nie zmężnieje — póki będzie liczył na pomoc bądź rządową, bądź krajową, na każdym prawie przednowku, póty nie pomyśli o tem, że każdy najpierw sam sobie pomagać powinien, i w lepszych czasach zabezpieczać się od gorszych. Nie myślę ja wprawdzie utrzymywać, jakoby u nas w istocie tak wiele robiono dla ludu, jakoby go psuto darami i jałmużną — ale mówi się o tem za wiele, a tem samem rozszerza się przekonanie, jakoby celem i zadaniem organizacji państwowej i społecznej było dać jednostce to, co jej powinna dać praca, oszczędność i zapobiegliwość własna. Państwo i społeczeństwo obowiązane są jedynie dbać o to, ażeby te cenne przymioty indywiduów nie zużywały się w walce bezowocnej, ażeby miały pole rozwinąć się i osiągnąć nagrodę, która im się należy, tj. odpowiedni stopień dobrobytu. U naszego ludu drzemią one jeszcze niestety pierwotną swoją, wszechsłowiańską drzemką — nie umie on ani pracować, ani uczyć się, ani oszczędzać, a w dodatku tkwi u niego na dnie duszy przekonanie, że ktoś mu coś winien, że należy mu się opieka, zapomoga, i więcej, jak najwięcej gruntu.....

* * *

Oczekujemy tu z niecierpliwością doniesień z Krakowa, czyli deszcz siarczysty nie spalił przypadkiem historycznego grodu za karę, iż w jego murach p. Okoński wbrew komisji konkursowej odczytał swój dramat, poparty olbrzymią, choć mimowolną reklamą *Czasu*. Kiedy tam przybył na wystawę obraz Schlözera, przedstawiający Afrodytę w chwili, gdy rodząc się z morskiej piany, nie miała jeszcze czasu włożyć krynoliny, okrzyczano to malowidło jako niezmiernie niemoralne, i rezultat był taki, że jeżeli jest między krakowianinami albo krakowiankami kto taki, coby nie widział późniejszej pani Wulkanowej w wielkim negliżu, to chyba ten, co się urodził już po odwiezieniu obrazu do Wiednia. Dla arystokracji i osób stanu duchownego wyznaczone były osobne godziny, w których mogły zwidzać wystawę nie wywołując mrugania oczami i trącania się łokciami między pospólstwem. Teraz znowu, gdy pan Okoński zapowiedział swój odczyt, *Czas* uderzył na alarm w Zygmunta (ale w Goliana, nie w tego, co jest na Wawelu) i ostrzegł wszystkich przed niesłychaną niemoralnością dramatu, który — jak słyszałem, popsuć już nawet miał obyczaje niektórych członków komisji konkursowej. W skutek tego wątpię, czy znalazło się pięciu sprawiedliwych, którzyby się wstrzymali od udziału w odczycie, i gdybym kiedy, przebywszy most na Wiśle, zamiast Kleparza, Stradomia, Kazimierza, plantacji itd. ujrzał tylko jezioro asfaltowe na miejscu krakowskiej Sodomy, nie zdziwiłoby mię to wcale. Mam nadzieję, że w takim razie ujrzałbym także opodal staruszka z Różanej ulicy, koczującego pod namiotem z córkami i trzodami swojemi, niedaleko od olbrzymiej topki soli, podobnej z kształtu do nieboszczki Teki Stańczyka.

* * *

Już to co się tyczy niemoralności autorskiej, to ja się znam na tem, sam bowiem pisywałem dawniej powieści tak niemoralne, że *Czas, Przegląd* zwany „Polskim“ i *Gazeta Lwowska* wykluczyły dotychczas wszelką wzmiankę o nich nawet ze swoich rejestrów bibliograficznych. Warszawa była łaskawszą na mnie, ale za to niektórzy krytycy tamtejsi zarzucili mi, że w przedstawianiu czarnych charakterów posunąłem się za daleko. Mianowicie twierdził jeden z nich, że u nas nie ma takich „Klonowskich,“ jak ten, którego opisałem w „Głowach do pozłoty.“ Gdyby szanowny ten krytyk pofatygował się do Lwowa, mógłbym go przekonać, jak dalece był w błędzie. Pokazałbym mu Klonowskiego żywego, piastującego mandaty zaszczytne, dowody wielokrotnego zaufania ziomków. Pokazałbym mu jego karjerę polityczną, niezmiernie cyrkumlokucyjną, rezolucyjną i federalistyczną. Mąż ten nigdy nie trzymał z centralistami, ministrami ani żydami, ale jako dziedzic tabularny, jako krew z krwi i kość z kości, i jako jeden z tych mędrców, „jakich nam potrzeba,“ był „naszym“ Klonowskim. Cała różnica między moim Klonowskim, a tym naszym, polega na tem, że podczas gdy mój obdzierał swoich pupilów niejako kapaniną, po dziewięć i po piętnaście tysięcy złr. nasz wziął się do tego *en gros*. O ile zaś miałem słuszność twierdząc, jakoby chyba tylko Nemezys w kształcie lokomotywy mogła dojechać końca takiemu Klonowskiemu, to wynika najjaśniej z faktu, iż wszyscy wiedzą o jego czynach, a on piastuje dalej swoje godności, jak gdyby się nic nie stało. U nas bowiem sądzą, przepędzają lub zamykają tylko ludzi podejrzanych o to, iż „żyli na żart,“ ale kto żył tak na serjo, że przeżył aż tyle cudzych pieniędzy, temu, jak to mówią, „bieda nic nie zrobi“ — jedynie „niemoralni“ pisarze miotają się na niego czasami, za co w *Przeglądzie* t. z. Polskim stawiani bywają na pręgierzu, i dobrze im tak. Wszystko to zaś razem zapisuje się tutaj, jako najświeższa treść poufnych „pogadanek“ w naszem mieście.

Jan Lam.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ VII.

(Ciąg dalszy.)

(*Korespondent i Pencroff w zagrodzie. — Przeniesienie Harberta. — Rozpacz marynarza. — Narada korespondenta i inżyniera. — Sposób leczenia. — Trochę nadziei. — Jakim sposobem zawiadomić Naba? — Posłaniec pewny i wierny. — Odpowiedź Naba.*)

Na krzyk Harberta Pencroff, upuszczając z rąk karabin, rzucił się ku niemu.

— Zabili go! — zawołał — zabili moje najdroższe dziecko!

Cyrus Smith i Gedeon Spilett rzucili się również ku Harbertowi. Korespondent pochylił się, aby usłyszeć, czy serce biednego młodzieńca bije jeszcze.

— Żyje! — zawołał wreszcie. — Ale trzeba go przenieść.

— Do Pałacu Granitowego? Ależ to niepodobieństwo — odrzekł inżynier.

— A więc do zagrody — zawołał Pencroff

— Chwilę jeszcze! — rzekł Cyrus Smith.

I poskoczył na lewo z zamiarem okrążenia palisady. Nagle ujrzał przed sobą jednego ze zbiegów, który wycelowawszy doń, przeszył mu kulą kapelusz. Zanim jednak miał czas strzelić po raz drugi, padł, ugodzony w samo serce sztyletem Cyrusa, pewniejszym jeszcze od jego strzelby.

Tymczasem Gedeon Spilett i marynarz wdrapali się na częstokoł, przeszli przez wierzch jego, skoczyli wewnątrz, usunęli rygle odedrzwi i wpadli do głębi. Tam nikogo nie było. W kilka minut potem Harbert spoczywał już na pościeli Ayrtona. Za chwilę i Cyrus Smith znalazł się przy nim.

Boleść marynarza, gdy widział Harberta leżącego wciąż bez duszy, była straszliwą. Łkał, płakał, głowę o mur chciał sobie rozbić. Napróżno korespondent i inżynier chcieli go uspokoić. I ich także wzruszenie prawie pozbawiało przytomności. Mówić nie mogli.

Bądź co bądź jednak, nie zaniedbywali niczego, co było w ich mocy, ażeby wydrzeć śmierci biedne dziecię, konające w ich oczach. Gedeon Spilett, po tylu przygodach przebytych w ciągu życia, miał pewne wiadomości medyczne i chirurgiczne. Znał wszystko po trosze i nieraz mu już się zdarzyło nieść pomoc rannym, bądź to przez broń białą, bądź od kuli. To też z pomocą Cyrusa Smitha, przystąpił natychmiast do pierwszych starań, których wymagał stan Harberta.

Zaraz w pierwszej chwili uderzył inżyniera w Harbercie rodzaj agonji ogólnej, będącej wynikiem, czy to zbytniego upływu krwi, czy też wstrząśnienia, jeżeli kula uderzyła w kość z siłą dostateczną do wywołania podobnego skutku.

Harbert był niezmiernie blady i miał tak słabą pulsację, że Gedeon Spilett chwytał uderzenie tętna tylko w długich przestankach, jak gdyby życie lada chwila miało się zatrzymać. Jednocześnie zaś miało miejsce zupełne zawieszenie czynności zmysłów i inteligencji. Symptomaty te były wielkiej wagi.

Obnażono pierś Harberta i po starciu krwi za pomocą chustek obmyto ją zimną wodą.

Wówczas pokazała się rana. Był to otwór owalny pomiędzy trzeciem a czwartem żebrem. Tam kula ugodziła Harberta.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett przewrócili na drugi bok biednego chłopca, z którego piersi wydarł się przytem tak słaby jęk, iż sądzić można było, że to ostatnie westchnienie.

Druga rana podobna poprzedniej broczyła się na plecach Harberta, a gdy jej dotknięto, kula wysunęła się z niej natychmiast i stoczyła.

— Dzięki Bogu! — zawołał korespondent — kula nie pozostała w ciele, nie potrzeba więc jej będzie wydobywać.

— Ale serce? — spytał Cyrus Smith.

— Ani tknięte, inaczej Harbert byłby nie żywy.

— Nie żywy! — zawołał Pencroff z rodzajem ryku.

Usłyszał tylko ostatnie słowa korespondenta.

— Nie, Pencroffie, nie! — zawołał Cyrus Smith. — On żyje! Tętna biją wciąż jeszcze. Wydał nawet jęk przed chwilą. Ale błagam cię w interesie twojego dziecka, uspokój się. Potrzeba nam całego zapasu zimnej krwi. Nie wytrącaj nas z równowagi, mój przyjacielu.

Pencroff zamilkł — ale nagle pod wpływem gwałtownej reakcji grube łzy zalały twarz jego.

Tymczasem Gedeon Spilett usiłował skupić swoje wspomnienia i zdobyć się na jakąś metodę. Wedle tego co widział, zdawało mu się niewątpliwem, iż kula wpadła z przodu, a wyszła z tyłu. Ale jakież spustoszenia zrobiła przechodząc? Jakie organy główne były dotknięte? Oto pytania, na które chirurgowi z zawodu trudno byłoby odpowiedzieć w tej chwili, a cóż dopiero korespondentowi.

To jednakże wiedział dobrze, że należało zapobiedz ścieśnieniu się części zranionych, a następnie zwalczyć zapalenie miejscowe i gorączkę, niewątpliwy wynik tej rany, kto wie, może śmiertelnej. Ale jakich środków uspokajających, jakich przeciw zapalnych użyć? Jakim sposobem zapobiedz zapaleniu?

W każdym razie najważniejszą było rzeczą niezwłocznie opatrzyć te obiedwie rany. Nie wydawało się niezbędną Gedeonowi Spilettowi wywołać nowy upływ krwi, przez obmycie ran ciepłą wodą i ściśnięcie warg ich. Dotychczasowy bowiem upływ był bardzo obfity a strata i tak już aż nadto osłabiła Harberta.

Korespondent więc uznał za stosowne poprzestać na obmyciu obydwóch ran zimną wodą.

Położono Harberta na lewym boku i utrzymywano go w tem położeniu.

— Uważajcie, ażeby się nie poruszył — rzekł Gedeon Spilett. — Pozycja obecna sprzyja najlepiej ropieniu ran na piersi i na plecach, a przytem najzupełniejszy spokój jest koniecznym.

— Jakto? Więc nie można go przenieść do Pałacu Granitowego? — spytał Pencroff.

— Nie Pencroffie — odrzekł korespondent.

— Przekleństwo! — zawołał marynarz wznosząc zaciśniętą pięść ku niebu.

— Pencroffie! — napomniał go Cyrus Smith.

Gedeon Spilett wziął się na nowo, i to z najpilniejszą uwagą do badania ran ukochanego towarzysza. Harbert był wciąż tak straszliwie blady, że korespondent uczuł się przerażonym do głębi.

— Cyrusie — rzekł — nie jestem lekarzem, straszliwa niepewność mnie dręczy... Musisz mi dopomódz twemi radami, twojem doświadczeniem.

— Uspokój się, przyjacielu — odrzekł inżynier, ściskając go za rękę.... Sądź o wszystkiem z zimną krwią... Myśl o tem tylko, że trzeba ocalić Harberta!

Słowa te przywróciły Gedeonowi Spilettowi owo panowanie nad sobą, które w chwili zwątpienia, pod wpływem żywego uczucia odpowiedzialności, utracił. Podniósł się i usiadł tuż przy łożu Harberta. Cyrus Smith stanął przy nim. Pencroff rozdarł swoją koszulę i machinalnie jął skubać szarpie.

Tymczasem Gedeon Spilett objaśniał Cyrusowi Smith, iż jak sądzi, potrzeba przedewszystkiem powstrzymać upływ krwi, a jednak nie zamykać obudwu ran, ani starać się o bezwłoczne zabliźnienie się ich, istnieje bowiem obrażenie wewnętrzne, a w takim razie ropa zebraćby się mogła w piersiach.

Cyrus Smith potwierdził w zupełności plan jego — i zgodnie z nim postanowił opatrzyć rany, bez zamknięcia ich jednakże przez zbliżenie warg.

*

Ale teraz, gdy nadchodziła potrzeba reagowania przeciwko zapaleniu, gdzież mieli osadnicy znaleźć pewny środek ku temu?

Taki środek mieli pod ręką; — przyroda wszystkich nim hojnie obdarzyła. Mieli zimną wodę, a więc najpotężniejszą broń reakcyjną przeciw zapaleniu ran, najskuteczniejszy czynnik terapeutyczny w przypadkach najbardziej groźnych, obecnie przyjęty już, jako taki, przez wszystkich lekarzy. Zimna woda ma to po sobie, że pozostawia ranę w najzupełniejszym spoczynku, i usuwa potrzebę natychmiastowego obandażowywania jej, zastępując bandaż wybornie a mianowicie, pod tym względem iż nie dopuszcza zetknięcia się rany z powietrzem, co, jak to doświadczenie okazało, bywa zgubnem dla ran w pierwszych dniach leczenia.

Tak rozumowali Gedeon Spilett i Cyrus Smith, kierując się tylko wrodzonym zdrowym rozsądkiem, a nie mogliby rozumować lepiej, będąc najbieglejszymi chirurgami. Przyłożono tedy zimne okłady na obiedwie rany biednego Harberta, pamiętając troskliwie o utrzymywaniu ich w ciągłej wilgoci.

Marynarz zaraz po wypadku rozniecił ogień na kominie zagrody, w której nie brakło na zapasach żywności. Cukier klonowy i rośliny lecznicze, te same które młodzieniec zebrał niegdyś na wybrzeżach jeziora Granta, ułatwiły przyrządzenie orzeźwiających ziółek, które wlano w usta Harbertowi, wciąż jeszcze nieprzytomnemu. Gorączka dręcząca biednego młodzieńca była nader silną. Minął cały dzień i noc a on wciąż jeszcze nie odzyskiwał przytomności. Życie jego zdało się wisieć na nitce, która się mogła zerwać lada chwila.

Nazajutrz, 24 listopada, Cyrus Smith i towarzysze jego zaczęli mieć niejaką nadzieję. Harbert dał znak życia. Otworzył oczy i poznał Cyrusa Smitha, korespondenta i Pencroffa. Wymówił nawet dwa czy trzy słowa. Nie wiedział jednak jeszcze, co się z nim stało. Gedeon Spilett zawiadomił go o wszystkiem, zaklinając zarazem aby się strzegł najmniejszego poruszenia, a z drugiej strony zapewniając go, iż życie jego nie znajduje się bynajmniej w niebezpieczeństwie i że rany przezeń otrzymane w kilka dni się zabliźnią. Harbert nie czuł prawie żadnego bolu, a woda którą bez ustanku skrapiano okłady, zapobiegała wszelkiemu zapaleniu ran. Ropienie rozwijało się całkiem normalnie, gorączka nie zwiększała się, można więc było się spodziewać, że straszliwa ta rana nie pociągnie za sobą żadnej katastrofy. Pencroff czuł, jak mu powoli spada kamień z serca. Czuwał jednak wciąż nad Harbertem jak siostra miłosierdzia, jak matka u łoża swego dziecięcia.

Harbert zadrzemał znowu, i to snem, jak się zdawało o wiele spokojniejszym.

— Powtórz mi pan, że masz nadzieję, panie Spilett — odezwał się Pencroff. — Powtórz mi, że ocalisz Harberta!

— O tak, ocalimy go! — odrzekł korespondent. — Rana to ciężka, a kto wie nawet, czy kula nie przeszyła płuc, ale przejście kuli na wskróś przez ten organ nie jest śmiertelnem.

— Oby cię Bóg wysłuchał!... — zawołał Pencroff.

Jak łatwo się domyśleć, przez pierwszych dwadzieścia cztery godzin pobytu w zagrodzie, osadnicy zajmowali się tylko Harbertem. Nie obchodziło ich dotąd możebne niebezpieczeństwo w razie powrotu piratów, i ani nawet pomyśleli o środkach ostrożności na przyszłość.

Ale tego dnia, podczas gdy Pencraff czuwał u łoża chorego, Cyrus Smith i korespondent oddalili się na chwilę dla porozumienia się w powyższych kwestjach.

Przedewszystkiem opatrzyli całą zagrodę. Nigdzie nie było ani śladu Ayrtona. Porwaliż go dawniejsi jego wspólnicy? Czyżby go zaszli z nienacka w zagrodzie? A w takim razie może walczył i zginął? To ostatnie przypuszczenie aż nadto było prawdopodobne. Gedeon Spillet, w chwili wdrapywania się na częstokół, otaczający zagrodę, widział wybornie uciekającego w stronę południowego stoku góry Franklina jednego z piratów za którym Top się rzucił. Był to jeden z tych, których łódź rozbiła się o skały przy ujściu „Dziękczynnej.“ Zresztą, złoczyńca zabity przez Cyrusa a którego ciało znalazło się po za palisadą, należał niewątpliwie do bandy Boba Harveya.

Co do zagrody, nie uległa ona żadnemu spustoszeniu.

Drzwi od obor były pozamykane a więc zwierzęta nie mogły rozbiedz się po lesie. Nie można było także odkryć najmniejszych śladów walki, żadnego uszkodzenia ani w częstokole ani w domu mieszkalnym.

— Nieszczęśliwy! — rzekł Cyrus Smith, myśląc o Ayrtonie — musieli go zaskoczyć niespodzianie i broniącego się, co rzecz niewątpliwa, zamordowali.

— Tak, i ja się tego obawiam! — odrzekł korespondent. — Następnie zaś zapewne zakwaterowali się ci rozbójnicy w zagrodzie kędy znaleźli obfitość wszystkiego i dopiero nasze zjawienie się przymusiło ich do ucieczki. Jawnem jest także, że w owej chwili. Ayrton żywy czy umarły nie znajdował się już tutaj.

— Należałoby przeszukać las — rzekł inżynier, i uwolnić wyspę od tych nędzników. Przeczucia Pencroffa nie były mylne, gdy radził zrobić na nich obławę, jak na dzikie bestje. Ileż by to nam nieszczęść było oszczędziło!

— To prawda — odrzekł korespondent — ale teraz za to uzyskaliśmy prawo bić bez miłosierdzia!...

— W każdym razie — zauważył inżynier — musimy pozostać w zagrodzie aż do chwili, gdy będzie można bez niebezpieczeństwa przenieść Harberta do Pałacu Granitowego.

— A cóż z Nabem? — spytał korespondent.

— Nab całkiem bezpieczny.

— A jeżeli zaniepokojony naszą nieobecnością, pospieszy tu do nas!...

— Trzeba temu zapobiedz — odpowiedział żywo Cyrus Smith. Zamordowano by go w drodze.

— Tymczasem bardzo jest prawdopodobną rzeczą, że zechce się z nami połączyć.

— Ach! gdyby telegraf funkcjonował jeszcze, moglibyśmy go uprzedzić. Ale tak to niepodobna! O zostawieniu zaś tutaj Pencroffa i Harberta samych ani myśleć się nie godzi!... Ha!... Więc ja sam pójdę do Pałacu Granitowego.

— O nie! nie, Cyrusie — zawołał korespondent — nie wolno ci się w ten sposób narażać. Na nic by się tu nie przydała cała twoja odwaga. Ci nędznicy pilnują widocznie zagrody — założyłbym się, że siedzą w zasadzce w otaczających lasach — gdybyś więc sam w drogę wyruszył wkrótce mielibyśmy zamiast jednego dwa nieszczęścia do opłakiwania!

— Cóż jednak począć z Nabem?... powtórzył inżynier. — Oto już doba, jak nie ma od nas żadnych wieści. Gotów wyruszyć w drogę do nas.

— I mając się mniej jeszcze na baczności, aniżeli my byśmy się mieć mogli — zginie! — zawołał Gedeon Spilett.

— Nie masz więc sposobu ostrzeżenia go?

Nagle, gdy inżynier pogrążył się w głęboką zadumę nad tą kwestją, wzrok jego padł na Topa, który kręcił się tu i owdzie, jakby chcąc powiedzieć!

— A ja? Cóż to, czy zapomnieliście o mnie?!

— Top! — zawołał Cyrus Smith.

Zwierzę poskoczyło na głos swego pana.

— O tak! Top pójdzie! — zawołał korespondent, pojąwszy odrazu myśl inżyniera. Top przejdzie, gdzie dla nas nie byłoby przejścia!

— Zaniesie do Pałacu Granitowego wieść z zagrody i przyniesie nam odpowiedź ztamtąd!

— Prędzej! — odrzekł Cyrus Smith... Spieszmy się!

Gedeon Spilett wydarł co żywiej kartkę ze swojej książeczki notatkowej i nakreślił na niej te słowa:

„Harbert ranny. Jesteśmy w zagrodzie. Miej się na baczności. Nie opuszczaj Pałacu Granitowego. Czy piraci pojawili się gdzie w okolicach Pałacu? Odpowiedz przez Topa!“

Lakoniczny ten bilet streszczał w sobie wszystko, co Nabowi wiedzieć było potrzeba a jednocześnie zapytywał o wszystko czego osadnicy chcieli się dowiedzieć. Złożono go i przymocowano do obroży Topowi, w sposób bardzo widoczny.

— Topie! mój piesku, zawołał wówczas inżynier, głaszcząc wierne zwierzę, Nab, Topie! Nab! Ruszaj! Naprzód!

Top na te słowa poskoczył naprzód. Widocznie zrozumiał, czy odgadł, czego odeń wymagano. Droga do i z zagrody była mu doskonale znaną. W niespełna pół godziny mógł ją przebyć i pewną było rzeczą, że tam, gdzie Cyrus Smith ani korespondent nie uniknęliby niebezpieczeństwa, Top przesuwając się wśród wysokich traw lub skrajem lasu, przejdzie niepostrzeżony.

Inżynier podszedł ku bramie zagrody i otwierając na pół:

— Nab! Topie, Nab! powtórzył raz jeszcze i wyciągnął rękę w kierunku Pałacu Granitowego.

Top wyskoczył za bramę i natychmiast prawie zniknął z oczu.

— Dojdzie do miejsca — rzekł korespondent.

— Niewątpliwie — i powróci. Wierne zwierzę.

— Która godzina? spytał Gedeon Spilett.

— Dziesiąta.

— Za godzinę może już być tutaj z powrotem. Czekajmy.

Bramę zagrody napowrót zamknięto. Inżynier i korespondent powrócili do mieszkania. Harberta znaleźli pogrążonego w głębokim śnie. Pencroff utrzymywał okłady na ranach w stanie ciągłej wilgoci. Gedeon Spilett, że niemiał w danej chwili nic innego do roboty, zajął się przyrządzaniem jakiegoś pożywienia, nie spuszczając jednak z oka części zagrody dotykającej do

ściany góry, z tamtej strony bowiem najprędzej można było się obawiać napadu.

Nie bez mocnego niepokoju czekali osadnicy na powrót Topa. Na kilka chwil przed jedynastą Cyrus Smith i korespondent z karabinami w ręku, zaczaili się za bramą, gotowi otworzyć ją za pierwszem szczeknięciem wiernego psa. Nie wątpili, że jeżeli tylko udało się Topowi szczęśliwie dostać do Pałacu Granitowego, Nab musiał go natychmiast odesłać z powrotem.

Tak stali obydwaj już około dziesięciu minut, gdy naraz zabrzmiał strzał a po nim ozwało się gwałtowne szczekanie.

Inżynier otworzył co tchu bramę i widząc jeszcze resztki dymu unoszące się w odległości stu kroków na skraju lasu, wypalił w tym kierunku.

Jednocześnie prawie Top wpadł do zagrody, i natychmiast brama za nim zapadła z trzaskiem.

— Topie! Topie! zawołał z niepokojem inżynier, przyciskając do siebie poczciwy ogromny łeb dzielnego psa.

Przy obróży znajdował się przytwierdzony bilet, który rozwinąwszy, Cyrus Smith znalazł następujące wyrazy, nakreślone wielkim charakterem Naba:

„Ani śladu piratów w około Granitowego Pałacu. Nie ruszę się z miejsca. Biedny p. Harbert!“

(C. d. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

Dr. Richard Roepell Polen um die Mitte des XVIII. Jahrhunderts, Gotha 1876. — Dokończenie.)

Jeszcze skandaliczniejszemi były wypadki trwania trybunału w roku następnym. Przewodnik partji Potockich — Potocki Michał — umarł, wielkiego zaś hetmana Józefa Potockiego starość zupełnie przygnębiła. Pomyślną tę chwilę Czartoryscy starali się o ile można wyzyskać. Na wszystkich sejmikach usiłowali przeprowadzać swoich kandydatów. Głównym zaś ich celem było Kazimierza Poniatowskiego, zabójcę Tarły, wprowadzić na urząd marszałka. Z liczną czeredą przybył on do Piotrkowa, gdzie pod przewodnictwem biskupa poznańskiego, Teodora Czartoryskiego, sprawdzano wybory i odbywano sądy. Stronnicy okrzyknęli go marszałkiem, ale sprzymierzeńcy Potockich chwycili za szable i zmusili Poniatowskiego do ucieczki z kościoła a potem z miasta. Jego wszakże partja dotrzymała placu. Ponieważ kandydat nie mógł przejść, szło jej już tylko o to ażeby przerwać trybunał. Według zwyczaju przywoływano po kolei wybranych przez województwo do złożenia przysięgi: partja Czartoryskich przy każdem nazwisku nienależącem do niej krzyczała: *vacat*, protestując tym sposobem przeciw prawowitości wyborów. Toż samo czynili ze swej strony sprzymierzeńcy Potockich względem Czartoryskich. Tym sposobem trybunał po raz pierwszy od swego istnienia nie został obsadzony a kraj pozbawiono najwyższego sądu. Napróżno starano się pod naciskiem tych wypadków zreformować prawidła sejmowych obrad i liberum veto zastąpić większością głosów — szaleństwo bezrządu tak dalece obłąkało szlachtę, że udaremniła wszelkie próby ratunku spychając zapamiętale kraj w przepaść. — Dalszy ciąg tej epoki, w której historja nasza jest tylko historją kilku familij rozdzierających kraj między siebie, zbyt jest poplątana ażebyśmy ją tu za Roepellem powtarzać mieli. Wreszcie nic w niej ciekawego i nic nowego. Też same egoistyczne instynkta ambitnych magnatów, toż samo rozbestwienie służącej im szlachty, toż samo pominięcie wszelkich względów ogólnego dobra, gwałty, zrywania sejmów, konfederacje, intrygi — słowem wszystko, na co się pijany i własną zabójczą ręką przeciw sobie zwracający naród zdobyć może. Okropny widok tej spodlonej szlachty, która wynajmuje to, do czego nie dorosła a czem się przechwalała tak wrzaskliwie — prawo swobody, przywilej zatwierdzania lub odrzucania sejmowych uchwał swym osobistym sądem lub grymasem. Nigdy wyraźniej jak w tym okresie dzieje nasze nie sprowadziły fałszywej zasady *ad absurdum*.

Prywatna na pozor sprawa majoratu, ufundowanego przez jednego z książąt Ostrogskich i dziedziczonego kolejno przez pokrewne im familje, stała się powodem wielkiego zaburzenia i ostatecznie, gdy Czartoryscy po spadek sięgnęli— przyczyną ich rozdziału z Brühlem i partją dworską. Tylko nasza myśl przywykła do pamiętania czynów najszaleńszego politycznego rozuzdania może czytać karty tych dziejów z wiarą w możliwość istnienia podobnej anarchji i samowoli. Absolutne bezprawie, przypominające najpierwotniejszy stan ludów dzikich, illustrowała wtedy na wyścigi szlachta swemi gorszącemi wybrykami. Nie było politycznego zuchwalstwa, przed którem by się cofnęła. Przypatrując się dziś zdala tym ludziom, którzy z okrzykami miłości dla ojczyzny, ustawicznie deptali jej prawa i rozkopywali jej ostateczny grób, nie wiadomo, czy ich brać za obłudnych wrogów narodu, czy za jego obłąkanych synów. Rzeczywiście byli oni obłąkanymi i to ich z jednej strony uniewinnia, z drugiej powiększa tragiczność przebiegu i zakończenia się tego aktu naszej historji. Nie ma okropniejszego w niej okresu, jak właśnie czasy panowania Augustów. W obec nich jaśnieją niemal weselem nieszczęścia rozbiorów. Tu naród padał pod ciosami gwałtu obcego, tam zabijał się własnym. Tu nad jego czołem unosiła się aureola męczeńskiej chwały, tam zplamił cień własnego rozbestwienia. Tu go zabijano, tam się sam zabijał; tu miał prawo skarżyć się, że mu żyć niedozwolono, tam przekonywał, że żyć nie umie i nie wart.

Brak miejsca wzbrania nam iść dalej za autorem i przytaczać treść dwu ostatnich rozdziałów jego pracy, w których kreśli stosunek Polski do innych mocarstw w ciągu wojny siedmioletniej a następnie przełomy w latach 1762 i 1763. Opowiadanie Roepella urywa się na śmierci Augusta III. Opowiadanie to, jak czytelnicy z przytoczenia mogli zauważyć, mieści w sobie wiele faktów jeśli nie całkiem nowych, to w każdym razie wyraziściej niż dotąd uwydatnionych. Roepell dzieje nasze zna gruntownie, często nawet zadziwia summiennością w śledzeniu za najświeższemi opracowaniami pisarzy polskich, które mu jako cudziezomcowi łatwo mogły zejść z uwagi. Wspomnieliśmy jednak wyżej, że monografja jego jest nieco względnie do swych ram dziejowych za szczupłą. Autor przeważnie śledzi losy „familji,“ tak że nieraz zdaje się jak gdyby jej wyłącznie swoją pracę poświęcił. Bezwątpienia mimo szczupłości rysów w dość wyraźnych konturach występują inne magnackie rodziny, ale czyż rodziny te ze swemi nawet najdrobiazgowiej opowiedzianemi zatargami wypełniały życie całej *Polski w połowie 18 wieku?* Czy Braniccy, Potoccy, Czartoryscy i wszystkie inne pańskie gniazda biorące udział w handlu dobrem rzeczypospolitej, stanowiły jedyny czynny jej element? Upośledzona klasa ludu i wylęgającego się mieszczaństwa była wprawdzie obezwładniona lub uciśnięta, niemniej jednak jej stan należy do historycznego obrazu. Drobną szlachtę autor o tyle tylko uwzględnia, o ile ma sposobność ogólnikiem wspomnieć o jej przekupstwie lub swawoli, a przecież szczegółowszy jej wizerunek jest dla pełności tła obrazu tego, od którego ten lub inny herszt odstawał, konieczny. Oddawna zauważano nietylko w naszem ale szczególniej w naszem dziejopisarstwie wielką dbałość badaczy o stronę polityczną historji a znaczne zaniedbanie społecznej, moralnej i umysłowej. Jednostronności tej nie ustrzegł się i Roepell a nawet ją uderzająco kosztem innych działów publicznego życia rozwinął. W jego książce słychać tylko gwar targujących się lub walczących stronnictw — zresztą zupełna cisza.

Zdaje się, jak gdyby na chwilę cały naród wszystko porzucił i rozdzieliwszy się między Czartoryskich, Potockich i im podobnych, sejmikował, pił lub rozbijał. Wszystko to było, ale czyż to tylko? Czyż takie tylko zdarzenia składały się na proces historycznego rozwoju *Polski w połowie 18 wieku?* Nikt tego utrzymywać nie będzie a najmniej sam Roepell. Tymczasem jego książka doprowadza nieświadomego czytelnika do podobnych wniosków. Nikt bardziej od nas nie ceni zasług znakomitego niemieckiego badacza na polu naszych dziejów, bo pamiętamy dobrze, co mu winna polska historjografja za pierwszy tom *Historji Polski;* wyznamy jednak otwarcie, że słysząc oddawna o dziełku, które właśnie mamy przed sobą, spodziewaliśmy się powitać coś bardziej wyczerpującego.

Niezależnie od tych uwag, jakie się przy czytaniu pracy Roepella nastręczają, posiada ona wysokie zalety gruntownie naukowego studjum i autor przypisując ją krakowskiej Akademji, która go mianowała swym członkiem, wywdzięczył się za ten zaszczyt tak, jak się nie wywdzięczy może $^{9}/_{10}$ członków tej instytucji.

Dr. A. S.

Listy z Krakowa.

Kraków d. 10. marca 1876.

Ile razy przyjdzie wam chęć zwidzać słynne, historyczne cmentarze, dowiedzcie się przedtem, czy zupełnie martwe, czy na grobach starej chwały nowe życie nie ulepiło bud dla swej niesławy. Bo stokroć przyjemniej dumać nad milczącą mogiłą, stokroć rozkoszniej niemo wpatrywać się w czcigodny przez robaka dogryzany szkielet, niż słyszeć sowio ochrypłe kwilenie kołysanych między nagrobkami niemowląt, które ojcowie na łożu śmierci spłodzili. Czy może być coś mniej pożądanego dla wędrowca nad szwargot dzisiejszych przekupniów greckich, szachrujących między ruinami panteonu? Wystawcie sobie, że wam spokojne zadumanie w katakumbach rzymskich co chwila przerywa szept opryszków, naradzających się nad sposobami zręcznego rabunku. Dla czego ci ludzie — powiedziałby z westchnieniem każdy — obrali sobie te uroczyste miejsca za swe haniebne nory? Jak mogą je kalać swoją obecnością? Sowa lub puszcz, wylatujący z historycznych rozwalin, pająk zasnuwający je swą siecią lub ziele oplatające zwojami, nie robią nam tego wstrętu, jaki uczuwamy na widok człowieka, zakładającego sobie we wspaniałych gruzach swoją nędzną kolebkę.

Takie, niestety, uczucie ogarnia nas, gdy wejdziemy między mury Krakowa. Czemu w nich nie

pusto, ale tak pusto, ażeby żaden z rozlegających się dziś tam głosów ciszy nie kłócił? Jakiejkolwiek miary byli ojcowie, strasznie karlo wygląda wzrost ich synów. W orlem gnieździe ślepe pisklęta kruków i kawek. To już nie stary, polski gród, ale jezuicka twierdza. Zdaje się, że widzisz na wawelskich wieżach sztandary Lojoli. Miasto jak wielki grób, w którym przy trumnach snują się chmary owadów. Nie brak tego żadnego znaku, żadnego przyboru śmierci. Ciągły jęk dzwonów i tłumy czarnych figur przyodzianych długiemi sutannami, zapowiadają jakiś bliski pogrzeb. Zupełna martwość narodu wskazuje, że on umarł, uśmiechnięte twarze jezuitów — że ci go chować będą, zapalczywe uwijanie się żydów — że oni go za życia zrujnowali, a po śmierci lichwiarsko zlicytują. Rzeczywiście, w Krakowie odbywa się długi pogrzeb — marnotrawnego, przez księży sfanatyzowanego i zabitego, przez żydów zrujnowanego pokolenia. Co tu się dzieje i ma prawo do chluby, trudno uwierzyć. Wszystkich opętało jakieś szaleństwo umysłowego samobójstwa. Jeden warjat leci Don Carlosowi złożyć hołd w imieniu Polaków, drugi publicznie znieważa polskich najgenialniejszych poetów, inny przeklina najczystsze i najświętsze wspomnienia, wszyscy wypierają się wszelkiej czci dla wiedzy i postępu, słowem patrzysz na jakiś obłęd, na jakieś ogólne próchnienie. Kraków jeśli nie wynalazł to wydoskonalił okrutny rodzaj tortury dla ludzi uczciwych i myślących – skazawszy ich na życie w swem zepsutem łonie. Tu być człowiekiem, w którym pulsują świeże idee cywilizacji — katusza: każdy niepodległy umysł jest męczennikiem. Jak gdyby dla zaostrzenia kontrastów i wzmocnienia okropności widoku są tacy i nawet stosunkowo dość liczni. Stało się jednak z nimi to, co jedynie w tych warunkach stać się mogło: oniemieli. Krzyczą najbardziej ci, którym uczciwość odebrała wszelkie prawo głosu. Dla ich przezacnych organów nie istnieje nic wolnego od klątwy i wyroku na zupełną zagładę, oprócz dzieci Lojoli i tych herbowanych bankrutów, których tyle się nalęgło, że według starego Fredry, podatkiem kilku centów od każdej takiej głowy, można było przed kilku laty pokryć szkody wielkiej powodzi. Żaden niemiecki paszkwilista nie czerni tak i nie drażni naszych najdroższych uczuć, jak najemnicy tych jezuickich winnic. Przyzwyczajeni do illuzji względem galicyjskiej prasy, niby szanującej pewne dogmata naszego społecznego katechizmu, zdumieliby się niewymownie, odczytawszy jakiś goretszy numer *Czasu*, któregoby wielu nadsprejskich polakożerców nie podpisało. Znakomity nasz humorysta Lam, drwiąc z Krakowa, nazwał kiedyś jego ludność „podwawelskim narodem.“ Rzeczywiście jest to osobny naród, niepodobny do żadnego europejskiego, a ledwie językiem przypominający swe odległe pokrewieństwo z nami. Szczęściem, że się tak wyosobnił, bo doprawdy wstyd byłoby otworzyć oczy, gdyby nas najwierniej miał reprezentować przed światem. Jest to coś tak obcego, że można bez współczucia patrzeć na jego upadek. „Podwawelski naród,“ mówiąc tutejszym językiem, do wszystkich instytucyj wchodzi przez zakrystję, jezuicie całuje z pokorą kraj szaty, a panu pozwoli się kopnąć, złorzeczy nauce, postępowi, swobodzie, tolerancji, a to wszystko w imię patrjotyzmu. Za niepodległą myśl odsądzi cię od wszystkich ludzkich praw, ale przeciw jezuitom, wykradającym bogate jedynaczki nie zrobi ani jednego manifestacyjnego ruchu. Wypowiedz szczerze śmiałą zasadę — spadnie na ciebie kamień, oszukaj zręcznie setki razy ze skaplerzem na piersiach, dostaniesz palmę obywatelskiej zasługi. Nie ma barw dość ciemnych na odmalowanie obrazu tego szczególnego „narodu.“

Galicja nie ma programu życia, brnie w coraz większe błędy, ale ma swój program „naród podwawelski,“ instrukcja Lojoli służy mu za normę, według której funkcjonują wszystkie organa jego duszy i ciała. Z tego stanowiska łatwo zrozumieć... podróż redaktora *Przeglądu Polskiego* do obozu Don Carlosa i szczegółową w tem piśmie z podróży relację. Postawmy sobie pytanie: czy jakikolwiek cywilizowany, rozumny i taktowny naród znalazłby pomiędzy sobą „szanownego“ obywatela i publicystę, któryby miał odwagę z uszczerbkiem swej chudej kieszeni przejechać pół Europy, złożyć hołd bandycie i pochwalić się tą wyprawą przed swym krajem? Nie, to tylko mogło się zdarzyć w narodzie — podwawelskim. Trzeba mu jednak przyznać, że spostrzegł swą śmieszność, chociaż po niewczasie. P. Skrochowski (niech i nasze szpalty unieśmiertelnią to szacowne imię, które już długi rząd jezuickich orderów ozdobił), ów romantyczny wielbiciel hiszpańskiego rozbójnika, przez kilka tygodni tuczył sobą całą humorystyczną prasę. Dwunastu takich na wszystkie miesiące roku, a prasa ta w Galicji miałaby lepszy materjał, niż jakakolwiek inna w Europie. Fizyka ma swoje prawa, psychologja swoje. Niechaj więc nikt nie sądzi, że bohater pirenejski przyciągnął do siebie podkarpackiego, jako przeciwny w moralnej elektryczności biegun. I owszem, łączy ich bliskie pokrewieństwo, gdyż Don Carlos z pod Wawelu nie ma karabinów i armat, posiada jednakże swoją armję i skuteczną broń do strzelania uczciwych i niehołdujących jezuickim uzurpacjom ludzi. Pojechał więc brat do brata, jeden drugiemu mógł śmiało powinszować prawowitości walki i tryumfów. Czy tylko te powinszowania rzeczywiście się odbyły – z bliska? Malkontenci opowiadają, że p. S. zapewnie z głębokiej czci i wzruszenia nie śmiał przestąpić obozowego progu swojego przyjaciela bandyty i ograniczył się na mimicznem zakomunikowaniu swych serdeczności dla wodza, wojskowym niższych stopni. Że zaś krakowski pielgrzym nie akompaniował temu adoracyjnemu hymnowi, ani brzękiem ani szelestem bodajby austrjackich centów, więc też wrażliwe na taką tylko melodję korsarskie uszy dość niecierpliwie i niezupełnie wysłuchały jego dytyrambu. Bądź co bądź, Don Carlos wzgardzony przez wszystkie ludy, odepchnięty przez wszystkich monarchów, uznany został przez władzę podwawelskiej nacji, której przyjaźń była mu pewnie najbardziej pożądaną, a pomoc stanie się najbardziej skuteczną!... (Dok. n.)

Ze świata muzycznego.

Nie wspominaliśmy nic o koncertach Carlotty Patti, gdyż to wielkie w artystycznym świecie imię spekulujący impressariowie od dawna już tak okrzyczeli, że dziś nie ma miejsca, aby choć jeden listek uznania dodać do jej kolosalnego wieńca sławy; z drugiej zaś strony spostrzeżenia, choćby najskromniejsze zadziwiłyby nie mało wszystkich tych, dla których zagranica jest wyrocznią, wymagającą od nas bezwarunkowego posłuszeństwa w tem, co nam za dobre i wielkie uznać rozkaże. Podziwiając w Patti salonowy wprawdzie, lecz za to niezwykłej rozległości głos i gardło, z którem zaledwie słowiki rywalizować mogą, oddajemy cześć naturze, która ją pod tym względem wyjątkowo uposażyła. Co do głębszego zaś wrażenia, jakie ta artystka swym śpiewem wywrzeć może, to gdzie deklamacja śpiewu i uczucie pozostawione są na drugim planie, tam podobno trudno szukać tego ciepła, które słuchaczy ogrzewać powinno; zresztą walczyki i warjacje złożone przeważnie ze *staccatów* i *tryllów* przeplatanych samemi passażami, nie wielkie pole ku temu otwierają.

A jak u Patti brawurę, tak u p. Camillo Sivori głównie technikę podziwiać należy. P. S. będąc uczniem Paganiniego i dziś może już jedynym reprezentantem jego szkoły, trzyma się stale kierunku, na który go nieśmiertelny mistrz włoski wprowadził. Szkoda więc tylko, że rodzaj muzyki opartej wyłącznie na efektach *flageoletów i pizzicatów* już dawno przebrzmiał, i że smak dzisiejszy przekłada pierwszą lepszą sonatę Mozarta lub Beethovena nad wszystkie wyszukane trudności palcowe i skoki smyczkowe; gdyby nie to, prócz poszanowania wieku artysty i jego świetnej przeszłości, złożylibyśmy hołd niezaprzeczonemu talentowi artysty produkującego się w utworach poważnych i więcej odpowiednich teraźniejszym wymaganiom. Koncertów tej artystycznej spółki mieliśmy trzy, główny więc podobno cel koncertantów.... zdaje się osiągnięty!

Niestety przeciwnie rzecz się miała z pannami Rudolfiną (skrzypce) i Eugenią (wiolonczela) Epstein, które także do nas po laury zawitały. Koncert ich odbył się przy bardzo małym współudziale publiczności, chociaż może na więcej uznania zasługiwały. Nie wiemy czy to z chęci rehabilitacji, czy też kto te panie uprosił, aby na cel dobroczynny jeszcze raz dały się słyszeć, dosyć że z przykrością przychodzi nam zanotować kilkanaście osób spacerujących po próżnej sali, i dziwimy się jak można siebie samych lub kogo w ten sposób ryzykować. Dobroczynnych koncertów w każdym sezonie mamy taką ilość i pretekst ten przez chętnie produkujących się tak dalece już dziś jest wyzyskany, że zaprawdę bardzo silnej agitacji potrzeba, aby być pewnym powodzenia.

Na niekorzyść zresztą tego koncertu o wiele także wpłynął pobyt we Lwowie panny Bianki Donadio, która mimo podwojonych cen, całą publiczność do teatru ściągała.

Cztery występy w op. „Barbiere di Seviglia,“ „Sonambula,“ „Marta“ i „Dinora,“ były aż nadto dla p. Donadio wystarczające, aby dała nam poznać talent i prawdziwe powołanie śpiewaczki-artystki. Panna Donadio posiada głos sopranowy nie wielkiej siły, ale świeży, przyjemnego dźwięku i co najważniejsze, w najwyższym stopniu intonowany. Lekkość głosu, równość trylu i łatwość wokalizacji tworzą z niej śpiewaczkę w rodzaju koloraturowym — są to także dary natury, tylko że z niemi panna D. łączy jeszcze wdzięk podania słowa, uczucie i usposobienie artystki, co obok lekkich grupattów i ładnych kadencyj, przemawia także do serca. Śpiew dramatyczny, który często wymaga siły tonu, tyle ma powabu w sobie, że mało zaprawdę Lunatyczek, Łucyj i Sewilskich Rozinek, któreby z czasem nie zachorowały na Normy, Żydówki i Borgie. Panna D. po nad te złudzenia o tyle wyżej stoi, że nigdy nie stara się przejść granicy sił swoich. Ta umiejętność moderowania i użycia głosu stanowi może najwyższą znajomość sztuki wokalnej i muzykalnego wykształcenia. Co do strony dramatycznej i znalezienia się na scenie, to obok sympatycznej powierzchowności (co także wiele znaczy) gra jej jest pod każdym względem dystyngowaną i świadczy o przejęciu się i studjowaniu właściwego charakteru roli. Rażący to kontrast z pewnemi artystkami naszego personalu, którym reżyserja jeszcze nie wytłumaczyła, że np. Nancy, to dama honorowa dworu i towarzyszka Milady, a nie kucharka. Wymierzanie policzków i trzymanie się potem za twarz, przypominają nam cyrkowych *clownów*, a te namiętne z po za wachlarza spojrzenia, to zalotne przysuwanie się do zagniewanego Plumketta i te jakieś czułe ze zbytniej miłości szczypanie go, mogą być bardzo komiczne... ale w kawiarni!

Walery Wysocki.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Na chlebie żony. Powieść Jana Zacharjasiewicza. — Warszawa — Cassius 1876.

Powieść niniejsza co do pomysłu nowa, w układzie i formie zręcznie przeprowadzona, charaktery osób ze ścisłością i rutyną pisarską w najdrobniejszych odcieniach wykończone, a zgodne z rzeczywistością i prawdą. — Zygmunt, sierota, z rodu arystokrata, skoligacony z familją książąt Wiśniowieckich, za namową ciotek i bogatych stryjaszków, zepchnięty z drogi pracy i nauki, bez stanowiska społecznego idzie w świat szukać szczęścia i chleba gotowego, zaopatrzony jedynie herbem na wizytowych biletach i twarzą urodziwą. W domu Augusty, właścicielki rozlicznych włości, i pięknej bogatej jedynaczki Karoli, znajduje Zygmunt zrealizowanie swego szczęścia, zdobywa serduszko pięknej Karoli, a z niem chleb gotowy. Był na pozór szczęśliwy a jednak wewnętrzne przekonanie ciągle go dręczy, że za to szczęście nawzajem nic swej Karoli dać nie może, że je otrzymał w jałmużnie, i codziennie widzi tę rękę, która go tą jałmużną karmi. — Łatwo sobie wyobrazić iż z tych wyrzutów, które u Zygmunta były wynikiem ambicji i poczucia własnej godności, zrodziły się kwasy małżeńskie zatruwające mu najpiękniejsze chwile życia. Takie niecem niezarobione przy żonie stanowisko zaczęło mu dokuczać; chleb żony był mu gorzkim, pieszczoty Karoli zatrute ironicznym jadem politowania. Zaczął wszystko i wszystkich podejrzywać, że mu jego nicość wyrzucają. Dla zabicia tych zatruwających myśli zapragnął Zygmunt na pozór przynajmniej użyć niezawisłości i wolnej woli pana domu, wydawał rozkazy, rządził, oporu nie znosił, siląc się gwałtem swoją nicość zasłonić. Niestety nie miał czem! W skutek tego popadł w sprzeczność ze sobą samym. Po walkach i bezowocnych szamotaniach przychodzi do przekonania, że nicość swoją może pokryć tylko

pracą, a gdy będzie karmił żonę zapracowanym własnym chlebem, zostanie rzeczywistym panem. Spieszy więc do pracy i nauki, zdobywa świetne stanowisko w społeczeństwie i z wywalczonym na tej drodze chlebem własnym wraca na łono małżeńskiego pożycia. Odtąd życie zmieniło barwę; ciemne chmury pierzchły, i nastała najpiękniejsza pogoda w pożyciu małżeńskim. Przeciwstawieniem charakteru Zygmunta jest przyjaciel jego Maryusz, który idąc za popędem emancypacji ułowił sobie wdówkę piękną i bogatą Florentynę, osiadł na jej chlebie, utył na nim i poczerwieniał, spijał wina, grał w karty, sprowadzał swej bogdance miłe towarzystwa, nigdy nie był zazdrośny, a Florentyna uszczęśliwiona, twierdziła, że takie małżeństwo powinno być ideałem każdej kobiety, jeżeli tylko kupiony mąż stanowisko swoje należycie pojął i zrozumiał. Powieść ta pouczająca i głęboko moralna obfituje w piękne myśli, a że jest dobrze przeprowadzona, więc budzi niemałe zajęcie.

Nowości

podawane przez księgarnię
SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO
we Lwowie.

Chlędowski Kazimierz. — Sylwetki. w 8ce. Lwów 1876. Zł. 2·40.

Chotkowski ks. Wład. — Sieroty. Obrazek współczesny, w 8ce. Poznań 1876. 60 ct.

Dzierzkowski Józef. — Krzywda i odwet. Dramat] w 4. aktach. (Wydanie wznowione), w 8ce. Lwów 1876. 30 ct.

Korczyński Prof. Dr. Zapalenie stawów ze stanowiska ajtyjalogicznego z przeważnem uwzględnieniem tak zwanego gośćca stawowego (rheumatismus articulorum) i ropnicy (pyaemia) w 8ce. Kraków 1875. 50 ct.

Malczewski Antoni. — Marja. Powieść ukraińska, w 16. Lwów 1876. 16 ct.

Pol Wincenty. — Geografja ziemi świętej w dwóch księgach, w 8ce. Lwów. Zł. 1·50.

Rysicki Sebastjan Dr. Med. — Krótki rys hygeny dla ludu wiejskiego, jako podręcznik dla plebanów wiejskich, nauczycieli szkół pedagogicznych i dla nauczycieli szkół elementarnych, w 8ce. Kraków 1875. 36 ct.

Sędzimir. — Księżniczka z gminu. Powieść z prawdziwych zdarzeń, w 8ce. Lwów 1876. Zł. 1·80.

Śpiewak nowy z nad Raby, z ziemi Proszowskiej. Wydanie czwarte pomnożone. w 16ce. Bochnia 1876. oprawne 60 ct.

Papilon Fernand. — Histoire de la Philosophie moderne dans ses rapports avec le développement des sciences de la nature. Ouvrage posthume publié sur le désir de la famille par Charles Lévêque. Premier volume, in 8. Paris 1876. Zl. 4·50.

Villicius Franz. — Die zeichnende und berechnende Geometrie für achtklassige Bürgerschulen. Erster Theil der zeichnenden Geometrie für die VI und VII Bürgerschulklasse. Planimetrie, 8. Wien 1876 90 kr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Odezwa.

„Ażeby dać rzeczywisty dowód tego poszanowania i uznania, jakiem naród polski przejęty był dla genialnego wieszcza i zasłużonego obywatela, niżej podpisani, zaraz po przybyciu ś. p. Seweryna Goszczyńskiego z długiego tułactwa na ziemię rodzinną, zajęli się utworzeniem funduszu emerytalnego narodowego, którego dochód obrócony na jego utrzymanie, miał przeznaczenie uwolnić schyłek żywota, tylu przygodami znękanego, od przykrej troski o chleb codzienny i zarazem stać się wyrazem czci ogólnej dla niego. Cześć ta była tak prawdziwą i powszechną, iż dość było wypowiedzieć zamiar powyższy, bez odwołania się publicznego, ażeby wywołać chętny współudział szanownych rodaków w utworzeniu wspomnianego funduszu emerytalnego imienia Goszczyńskiego, którego forma i charakter ogólny, narodowy, niedotykając w niczem niezależności oraz godności wielkiego a nieugiętego charakteru wieszcza, spowodowała, iż takowy łaskawie został przez niego przyjętym. Dzisiaj, gdy już śmierć wyrwała z grona naszego zasłużonego męża, upoważnieni poprzednio, za życia jego dokonaną czynnością, odwołujemy się już do całej publiczności o przyczynienie się do postawienia pomnika na mogile zmarłego na cmentarzu Łyczakowskim, pewni będąc, iż chętnie każdy pospieszy choć z drobnym datkiem, dla okazania czci i wdzięczności dla tego, co całe życie swoje poświęcił dla ojczyzny, wyrzekłszy się wszelkich pociech nawet rodzinnych i wytrwał niezłomny, aż do końca świecąc przykładem zaprzania się siebie i cnoty. Suma, jaka pozostanie od kosztów wzniesienia pomnika, obróconą będzie na zasilenie wieczystej fundacji imienia Goszczyńskiego, dla weteranów literatury polskiej, której początek dany był r. z. podczas pięćdziesięcioletniego literackiego jego jubileuszu. Oznajmiamy przytem, iż wzięliśmy w opiekę swoją rękopisma, pozostałe po ś. p. Sewerynie Goszczyńskim, które przeczytawszy z pomocą zaproszonych literatów a przyjaciół zmarłego, postaramy się oddać na użytek publiczny tę część z nich, jaka zostanie uznaną, że już dzisiaj może być drukowaną; resztę zaś złożymy w jednej z publicznych narodowych bibliotek, gdzie przechowaną zostanie do czasów pomyślniejszych.

Lwów 12 marca 1876.

Alfred Młocki, Kornel Ujejski, Mieczysław Darowski, Agaton Giller, Wacław Niedzielski.

Sztuka i literatura.

— W teatrze naszym przedstawiono w środę 15go b. m. po raz pierwszy dramat 4 aktowy H. de Bornier'a — „Córka Rollanda.“ Pozostawiając wyczerpującą ocenę tak sztuki jak jej przedstawienia na scenie naszej do przyszłego numeru „Tygodnia,“ poprzestajemy dziś na wzmiance, że dramat wspomniany jest arcydziełem nowoczesnej dramaturgji, że artyści nasi ile możności starali się odtworzyć wiernie posągowe postacie rycerzy 9 wieku, i że sumiennie doradzić możemy każdemu czytelnikowi, by spieszył na dalsze przedstawienia „Córki Rollanda,“ a zaręczamy mu, że wyniesie z teatru jak rzadko kiedy, wrażenie błogie i przyjemne. Zamiejscowych czytelników ciekawych odsełamy na razie po treść tej sztuki do „Kroniki paryskiej“ w 16 i 17 numerze tomu I naszego pisma, z dnia 18 i 25 Kwietnia 1875 roku.

— Leopold hr. Starzeński napisał nowy dramat „Czaple pióro“ który pierwszy raz będzie przedstawiony we Lwowie na benefis panny Deryng.

— Dnia 20go bm. danem będzie w teatrze hr. Skarbka na rzecz Czytelni akademickiej przedstawienie amatorskie w połączeniu z koncertem. W koncercie wezmą udział: pani T. która zawsze przez publiczność z entuzjazmem przyjmowana rzadko tylko słyszeć się daje i panna B.; dalej znani już publiczności z tegorocznego wieczoru Mickiewiczowskiego p. K. skrzypek i pan K. A. baryton. Kierownictwo części muzykalnej objął p. Mikuli. Prócz tego odegra orkiestra pod kierownictwem p. Jareckiego uwerturę z opery Nicolai'ego: „Wesołe kumoszki z Windsoru.“ W części dramatycznej wezmą udział pp. Linkowska, Kwiecińska. prócz tego amatorki i amatorowie znani już publiczności z dawniejszych przedstawień. Odegrane zostaną komedyjki; „Rozwód czyli dwie mężatki“ Chęcińskiego i „Consilium facultatis“ hr. A. J. Fredry. Reżyserję objął p. Zboiński, artysta dram. Program urozmaicony i interesujący pozwala mieć nadzieję, że publiczność licznie tego wieczora salę teatralną napełni.

— Właśnie opuściły prasę dwa dziełka Józefa Rogosza „Wspomnienia z Włoch“ i studja o sztuce w Polsce pn. „Artur Grottger — Jan Matejko,“ i są do nabycia w księgarniach.

— Dwutomowa powieść „Idealiści“ Jana Lama wyszła osobno i znajduje się w handlu księgarskim.

— Dnia 11. bm. odbyło się w Poznaniu w sali Hotelu francuskiego walne zebranie spółki akcyjnej teatru polskiego pod przewodnictwem p. M. Łyskowskiego. Sekretarz dr. Kusztelan odczytał stan kasy, który jest następujący: Stan czynny: Rach. kasy mark 37136·41. Rach. procentów m. 94·65. Rach. nieruchomości 501,076·95. Rach. garderoby 5460. Razem 509,808·1 marek.—Stan bierny: Rach. Kwilecki, Potocki i Spółka m. 66·28. Rach. akcyj 221,084. Rach. pożyczek 132,000. Rach. akceptów 2756. Rach. składek 91.640·73. Rach. Doroszyński i Terenkoczy 1800. Rach. administracji 162·50. Rach. kredytów 60,112·50. Rach. M. Leitgebera 180. Razem mark 509,808·1. Niespłacone jeszcze koszta budowy teatru wynoszą 42.000 marek. Po przyjęciu i sprawdzeniu stanu kasy i kilku małoznaczących wniosków dotyczących wewnętrznego urządzenia teatru służby itd. zamknięto posiedzenie.

— Ostatniemi czasy postanowił rząd włoski urządzać w Rzymie corocznie wystawę dzieł sztuki i przeznaczył na ten cel sumę 50.000 lir. Na „Piazza del Popolo“ naprzeciw Monte Pincio będzie zbudowany umyślnie muzeum; na nagrodę dla najlepszego planu na ten budynek dał rząd 3000 lir. Wszyscy włoscy architekci zostali wezwani, ażeby do 30 kwietnia b. r. nadesłali plany swoje do ministerjum oświaty publicznej.

— W Londynie odbyło się 24 lutego br. pod prezydencją księcia Richmondu, posiedzenie komitetu dla wystawy naukowych aparatów, poczynającej się 1go Kwietnia b. r. Przewodniczący zawiadomił zgromadzenie o świetnych rezultatach zabiegów czynionych w tej mierze tak w kraju jak i za granicą. Następnie uchwalono złożyć wydział, który się zatrudni gościnnem przyjęciem przybyłych gości, i zaproponowano oznaczenie pewnego czasu, w którym spotkać się będą mogli w Londynie uczeni zagraniczni.

Odkrycia.

— Dotychczas nie wiedziano dokładnie, gdzie mieszkańcy budowli nawodnych grzebali swoich umarłych; teraz, zdaje się, rozwiązano to pytanie, i mniej więcej przyjąć można za pewne, że na stałym lądzie naprzeciw stacyj nawodnych znajdowały się ich cmentarze. Jeden z takich znaleziono pomiędzy Colombier a Auvernier, w Szwajcarji. Nakrywy grobów są zrobione z surowo ociosanych płyt kamiennych, groby zać wyłożone nieregularnie żwirowemi bryłami. W głębokości półtora metra natrafiono na grób, w którym leżało 15 dobrze zachowanych skieletów, różnej wielkości aż do dziecinnych. Z kształtu czaszek i znalezionych pierścieni bronzowych należałoby wnosić na epokę buonzu, atoli siekiera kamienna i poprzebijane zęby trzonowe, które widocznie służyły za naszyjniki, każą domyślać się znacznie wcześniejszego perjodu. Z całego tego odkrycia przypuszczają, że natrafiono na jeden z najpierwszych grobowców epoki budowli palowych, tem bardziej że to miejsce zaledwie o 50 metr. oddalone od nawodnej stacji palowej w Auvernier.

— Pisma poznańskie donoszą o ciekawem wykopalisku dokonanem niedawno w Błędowie, wiosce położonej pomiędzy Chełmnen i Grudziądzem. Robotnicy zajęci na gruntach tej wioski kopaniem kamieni do budującego się w okolicy mostu, znaleźli kilkanaście kamieni, regularnie ustawionych w foremne koło, mające około 15 metrów średnicy. W pośrodku znajdowały się dwie urny, które wszakże przez nieostrożność robotników zostały zupełnie zniszczone. Nieco głębiej, pod urną leżał skielet ludzki, przy którego głowie znajdowała się sztuka monety, z czasów cesarza Teodozjusza, jak o tem świadczy odczytany już, lubo nadzwyczaj zatarty napis. Wizerunek tego cesarza panującego w IV wieku po Chrystusie, zachował się daleko lepiej, jak również na drugiej stronie monety wyobrażenie rycerza, z nogą wspartą na karku zwyciężonego. Moneta ta ma zatem około 1.500 lat, co wszakże nie określa bliżej epoki z której pochodzi odkopany grobowiec.

— Badania znanego archeologa polskiego Jana Zawiszy, dopełnione przez niego w grotach znajdujących się w Ojcowie i ogłoszone drukiem, zwróciły na siebie baczną uwagę starożytników niemieckich i wywołały kilka nowych prac, zamieszczonych w pismach niemieckich, poświęconych naukowym badaniom

ROZMAITOŚCI.

— Sławny dyplomata francuski Talleyrand zaślubił był śliczną i bogatą Kreolkę, która posiadała wszystko, prócz, choćby tylko miernego, wykształcenia. Pewnego dnia zaprosił Telleyrand na objad barona Denon, który to uczony cieszył się względami Napoleona Igo i po powrocie swoim z Egiptu, gdy wydał obszerne cenne dzieło o tej wyprawie, został jeneralnym dyrektorem wszystkich

muzeów. Zanim tenże przybył, rzekł Talleyrand do swojej żony: „Zaprosiłem na objad znakomitego podróżnika Denon'a. Wypada, ażebyś przy danej sposobności wspomniała mu coś przyjemnego o jego podróżach. W ogóle bądź dla niego bardzo uprzejmą, bo to wielki faworyt cesarza.“ Młodziutka kobieta zanotowała sobie dobrze tę uwagę w pamięci, postanawiając zastosować się do życzenia męża. Atoli na nieszczęście biedaczka nic w życiu nie słyszała ani czytała o podróżnikach, wyjąwszy o Robinsonie Kruzoem, to też w głowie jej powstał straszny chaos pomysłów. W końcu wytłumaczyła sobie, że Denon nikim innym być nie może, jak jeno sławnym Robinsonem Kruzoe, o którym tylko jednym coś czytała w życiu. Co się zaś tyczy nazwiska „Denon“ — myślała — musiał prawdopodobnie otrzymać je z baronostwem w nagrodę zasług swoich, jak to się działo co dzień prawie w stolicy cesarstwa. Gdy więc znakomity gość zajął obok niej miejsce honorowe, w ciągu objadu zwróciła się do niego z łaskawym uśmiechem, i poczęła się wypytywać o „wyspę,“ na której przebył tyle trudów i mozołów. Denon był pewny, że piękna gospodyni myśli o Egipcie, więc krótkiemi słowami opisywał jej to i owo ze swojego tam pobytu. Gdy skończył, pani Telleyrand pyta go nagle z dziecięcą naiwnością: „A jakże też powodzi się panie Denon, pańskiemu Piątkowi?“ Na to osłupiał sławny podróżnik, i prawie języka w gębie zapomniał; po chwili jednak zrozumiał, że pani Talleyrand trzyma go pewnie za Robinsona. Reszta obecnych gości zadawała sobie gwałt, żeby stłumić pusty śmiech, sam zaś Talleyrand, który dzięki swojemu dowcipowi umiał zawsze wybrnąć z największego zakłopotania, tym razem nie potrafił zdobyć się na pomysł, którymby zatarł komiczne wrażenie, sprawione dziecięcą niewiadomością żony. Zawstydził się biedak, a pani zawsze jeszcze uśmiechnięta, ze zdziwieniem patrzyła w koło, nie rozumiejąc przyczyny dziwnego milczenia gości. Nazajutrz historyjka ta kursowała po wszystkich salonach Paryża i długi czas potem bawiono się z tego tytułu kosztem naiwnej pani Talleyrand.

— Pewna przygoda z życia Waszyngtona jest doskonałym dowodem, jak często losy całego narodu zawisły od małej drobnostki. Podczas wojen amerykańskich o niepodległość, spostrzegł razu pewnego żołnierz angielski stojący na wedecie, iż jakiś oficer nieprzyjacielski na koniu, zbliżywszy się znacznie do linji forpocztów, obserwował przy świetle księżyca stonowiska Anglików. Zagłębiony w swoich postrzeżeniach, podjeżdżał coraz bliżej, aż w końcu zaledwie kilka kroków dzieliły go od żołnierza ukrytego po za krzakiem. Bez szelestu podniósł Anglik swój karabin, odwiódł kurek, wymierzył w głowę oficera, i już miał wypalić, gdy wtem wpadła mu myśl że to przecie nie wielki zaszczyt zastrzelić człowieka z zasadzki, niby zwierza w kniei. Więc spuścił karabin do nogi, przyczem nie obeszło się bez szmeru. To zwróciło uwagę oficera, w mgnieniu oka zwrócił konia i w pełnym galopie popędził do swoich. Oficerem tym był sam Waszyngton. Zdarzyło się to właśnie w początkach wojny, a Waszyngton był duszą całego poruszenia, i gwiazdą wszystkim przewodnią. Kto wie, coby się stało było później z północną Ameryką, gdyby nie moralne skrupuły w ostatniej chwili, owego żołnierza angielskiego!

— Pomiędzy rozmaitemi cennemi manuskryptami, nabytemi niedawno przez carską bibljotekę w Petersburgu, znajduje się sławny Koran, który przepisać miał własnoręcznie sułtan Osman. Ciekawy ten rękopis, istniejący przeszło 1200 lat, znajduje się jeszcze w bardzo dobrym stanie. Ulemy z Samarkandy nazywają go obrazowo „ofiarowanem piórem,“ nie umieją zaś podać właściwej przyczyny tej nazwy niezwykłej. Podług tradycji Kalif Osman był właśnie czytaniem tego koranu zajęty, gdy zbliżył się doń morderca i wbił mu puginał w piersi. Krew, której ślady jeszcze dziś są widoczne, obryzgała karty świętej książki, przechowanej później w cennych zbiorach Tamerlana. Rossjanie nabyli (?) w Samarkandzie resztki tych zbiorów za olbrzymie sumy, mogą się jednak szczycić że posiadają nieoceniony klejnot literatury muzułmańskiej.

— Jak Chińczycy cenić umieją zdolnego artystę dramatycznego, poucza następujący wypadek, opisany w gazecie „China Mail.“ Teatr „wschodniej bramy“ w Canton'ie cieszył się tem pozazdroszczenia godnem szczęściem, iż posiadał w osobie pan Sun-tscho-sien artystę znakomitego, którego występy zgromadzały zawsze tłumy widzów. To powodzenie niezmierne wywołało zazdrość dyrektorów drugiego teatru tamtejszego zwanego „teatrem głównej ulicy,“ i ci postanowili *quand même* pozyskać dla swojego personalu godną osobę p. Sun-tcho-sien. Zabiegi ich odniosły skutek pożądany, atoli widzowie teatru „wschodniej bramy,“ tak dalece wzięli sobie do serca stratę ulubionego aktora, że postanowili zemścić się *in gremio* na podstępnej dyrekcji tamtego teatru. Jak umyślili tak zrobili. W Sobotę 13go listopada, w którym to dniu pan Sun-tscho-sien wystąpił po raz pierwszy przed nową publicznością, wpadli tłumnie o godz. 10 wieczór do nienawistnego teatru, pochwycili wszystkich grających artystów i artystki, postrącali ze sceny na parter, a w końcu wygnali z budynku całą publiczność. Stosownie do chińskich praw musiała później biedna kasa zwrócić widzom pobrane za wstęp pieniądze, zawiedziona zaś dyrekcja niechybnie wyrzekła się potem pana Sun-tscho-siena i zapewne nie sprobuje nigdy w przyszłości zabierać podstępnie bliźniemu dobrych aktorów.

— W argentyńskiem państwie Rioja poczęto od niedawna znowu wyzyskiwać stare kopalnie złota, znane od pół wieku pod nazwą: „Miny złota z Famatiny,“ a leżące dotychczas pustką. Odkrycie złota w tej ponurej okolicy nastąpiło było w sposób nader niezwykły i oto co pisze o tem dziennik „Courier de la Plata“ w jednym z ostatnich numerów: „W prowincji Rioja wznosi się pasmo gór, które prawdopodobnie skutkiem jakiejś rewolucji wulkanicznej oderwane zostało od Andów. Środkowy szczyt pasma, Famatina, dosięga wysokości 18000 stóp, pokryty śniegiem wiecznym a na lodowcach jego nie postała jeszcze noga ludzka. Ten płaszcz jego śnieżny przybiera, stosownie do pory roku, rozmaite kształty. Na wiosnę szaleją tam wichry tak gwałtowne, że do wysokości 14000 stóp zmiatają wszystkie śniegi i lody. Już na tej wysokości woda marznie stale, a roślinności nie ma żadnej; jedynem zwierzęciem, zamieszkującem te pustynie zimne, jest gatunek żółtych szczurów czy kretów które zakopują się w śniegi i wiodą żywot bardzo zagadkowy. W tej to okolicy znajdują się te, od niedawna tyle omawiane, legendowe miny złote Aragonezów, które z początkiem bieżącego wieku istniały rzeczywiście. W r. 1800 przechodził przez dolinę Famatiny, pułk aragonezyjski, na noc rozłożył obóz na lesistym stoku góry, rozniecywszy sute ognie. Jeden z oficerów pułku twierdził, że kompanja jego w niedogodnem rozłożona miejscu, więc rozkazał podwładnemu kapralowi Ramirez wynaleźć stosowniejsze i tam ulokować żołnierzy. Ramirez'owi rozkaz się nie podobał, a gdy za zuchwałe burczenie, w obliczu oficera, otrzymał karę cielesna, uniósł się taką złością, że dobył miecza i przebił przełożonego. Zbrodniarza okuto w kajdany, i miał być rozstrzelany nazajutrz. W nocy jeden z towarzyszy Ramireza rozkuł go, a gdy inspekcyjny oficer, widząc to, chciał obóz zaalarmować sygnałem, Ramirez rzucił się na niego i udusił w mgnieniu oka służbistę. Dwunastu podobnych jemu hultajów przyłączyło się doń, i umknęło z nim w góry, pułk zaś nazajutrz pomaszerował dalej. Tymczasem pozostali zbiegi przebiegali raz w górę, znowu na dół, całą przestrzeń, aż pewnego dnia znużeni spoczęli w wąwozie w którym znaleźli byli źródło wody. „Co za szkoda — zawołał nagle jeden, podnosząc z ziemi bryłkę złota wagi kilku uncyj — że nie możemy tu pozostać, bo bez wątpienia natraficby można w tych miejscach na pokład złota. Ot, patrzcie co znalazłem.“ Po krótkiej naradzie postanowili wszyscy jak najrychlej zmienić suknie, osiąść między krajowcami, i wyuczyć się ich mowy. Po niedługim czasie zamiary te przemienili w czyny. Przypadkiem czy zrządzeniem losu, jeden z nich rozumiał się nieco na robotach górniczych, i pod jego kierownictwem, napotkali niebawem na żyłę złota, z której, robiąc jeno młotami, w krótkim czasie wydobyli przeszło 200 funtów. Zobowiązawszy się wzajemnie do solennego zachowania tajemnicy, postanowili teraz przez Chile umknąć do Europy. W ubiorach swoich uchodzili w Chile za Riojczyków i Kreolów, zamiast jednak popłynąć do Europy, zaczęli się zabawiać wesoło, i wnet stracili na grę i rozpustę cały zapas złota. W trzy miesiące powrócili znowu do Famatiny, tym razem już w potrzebne narzędzia zaopatrzeni, podjęli napowrót wydobywanie cennego kruszcu i w tajemnicy zbierali sobie zapasy. Przez dziesięć lat z rzędu, co zimy wracali do Chile z pełnemi workami złota, i rozrzucali je hucznie, jak zwykle ludzie, którzy tanim kosztem do skarbów przychodzą; z utratą ostatniego kawałka złota powracali do nieocenionej kopalni. Pokazują jeszcze teraz ważki, któremi dzielili między sobą wydobyte bryły złota. Gdy wybuchła wojna o niepodległość, pożegnali krajowców, i z sześcią bogato naładowanemi mułami pożeglowali de Europy. Sześćdziesiąt lat upłynęło, aż jeden z podróżników zdecydował się odszukać te miny. W towarzystwie kilku krajowców, znaleźli na wysokości 14000 stóp kilka chat kamiennych i porzucone kopalnie Aragonezów. Narzędzia leżały nietknięte, atoli pozapadane kurytarzyki w kopalni nie dozwoliły dalszych puszukiwań. W ostatnich czasach zabrano się skrzętnie do złotodajnych pokładów, i spodziewać się należy, że niebawem ujrzemy w Bueonos Ayres złoto z tych samych min Famatiny, które przez pierwsze dziesięć lat swojego odkrycia zaopatrywały bogato wyłącznie jedno Chile.

— Na jednej z uczt publicznych w Ameryce, pewien publicysta, odpowiadając na toast wzniesiony na cześć dziennikarstwa, uciekł się do następującego porównania: „Dziennikarstwo, panowie, — rzekł — zajmuje w społeczeństwie tę samą rolę, jaka w życiu rodzinnem jest udziałem świekry: wszyscy się jej boją — lecz nikt nie miłuje. Jak długo zezwala na wszystko, szanują ją; jeżeli zaś ganić zacznie, poważnione nawet strony godzą się na tym punkcie, iż wspólnie życzą sobie: — „by djabli świekrę porwali żywcem!“ — Podług dat statystycznych fabrykują obecnie na całym świecie, rocznie krągłą sumę 1800 miljonów funtów papieru. Z tego połowa idzie pod prasę drukarską, jedna szósta zużywana do pisania, a reszta do opakowań i innych przeróżnych celów. W Zjednoczonych Stanach zpotrzebowują przecięcie na głowę 17 funtów rocznie, w Anglji $11^{1}/_{2}$, w Niemczech 8, we Francji 7, we Włoszech $3^{1}/_{4}$, w Hiszpanji $1^{1}/_{8}$; w Rossji tylko 1 funt. Gdyby te cyfry były miarą cywilizacji konsumentów, wypadłoby iż Jankesy to naród na całym globie najoświeceńszy i najinteligentniejszy.

— W Bendinat koło Palmy na wyspie Mallorca znajduje się nader ciekawy i dla starości swej poszanowania godny egzemplarz drzewa oliwnego, które tam w ogóle w olbrzymich okazach napotykać jeszcze można. Wspomniane drzewo posiada 12· 22 metrów w obwodzie, wysokie jednak tylko na 3 metry i ma zaledwie kilka niepokaźnych gałęzi. Skoro drzewa oliwne objętości 6 metrów, rosnące na górze oliwnej koło Jerozolimy, odnoszą z całą pewnością aż do czasów Chrystusa, cóż należy sądzić dopiero o wieku tego starca z Malorki, grubego przeszło 12 metrów w obwodzie! Jeszcze ciekawszym w tej mierze jest na tej wyspie dąb (quercus ile,) znany tam pod nazwą *Pavina de Mossa* rosnący w pobliżu opactwa Lluch, o 6 mil od Palmy. O kilka stóp nad ziemią ma w obwodzie 12· 7 metrów a wegetuje wciąż jeszcze z całą siłą, prawdziwy pomnik świata roślinnego. Wiek jego pewnie mało co mniejszy jak opisanego wyżej drzewa oliwnego, uratował się zaś przed siekierą węglarzy jedynie okolicznością, że wewnątrz próżny cały.

Odpowiedzi Redakcji.

Wszystkim Szanownym prenumeratorom przypominamy że kwartał się kończy i że najwyższy czas odnowić przedpłatę. Tom II dzieł Jeża będzie rozesłany d. 5 kwietnia; za oba tomy, 1 i 2, prenumeratorowie nasi płacą 3 zł. 20 cnt. za tom jeden 1 zł. 60 cnt. z przesyłką pocztową.

Treść Nr. 12.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).